Nr. 18. Poznań, Niedziela dnia 1 maja 1910. Rok XIV.

PRACA

CENA OGŁOSZEŃ wynosi 30 fenygów od jednołamowego wiersza petytowego. Przy częstszem ogłaszaniu udzielamy rabatu w stosunku:

przy czteroraz. (miesięczn.) 15%
„ kwartalnem 13 × 25%
„ półrocznem 26 × 33⅓%
„ rocznem 52 × 50%

Ogłoszenia na zewnętrznych stronach okładki obliczamy po 40 fen. od wiersza bez rabatu. Telefon 97.

Wdzięcznem

mydłem do prania — jak to mówią mydłem do wszystkiego — t. j. dla kuchni, dla domu, do szorowania i pielęgnowania ciała jest 62

mydło Regera.

Paczka funtowa **40 fen.**



114

Kosiarki do traw i **Zniwiarki** do zboża Siederslebena, Plano, Deeringa i inne.

Nowe grabie konne całożelazne z buksami w kołach, bardzo trwałej i prostej konstrukcyi najlepsze ze wszystkich. **Przetrząsacze do siana** całożelazne, widełkowe, nowej konstrukcyi

A. Byliński, w Poznaniu.

Przy ulicy Rycerskiej Nr. 14, Kantor i wystawa wszelkich machin i narzędzi rolniczych, krajowego i zagranicznego wyrobu. Wielkie składy machin i części zapasowych na placu kolejowym Własna pracownia do napraw.

Adres do listów **A. Byliński** Poznań - Posen. **Tel. nr. 69.** Adres do telegr.: **A. Byliński** Posen

Zecer maszynowy

(linotypista) może się zaraz zgłosić.
Płaca taryfowa.

Drukarnia „Pracy“
Poznań. ulica Rycerska nr. 38.

Nadzwyczajne obniżenie ceny!

Piękną reprodukcyę obrazu **H. Siemiradzkiego:**

Chopin u ks. Radziwiłła

zniżam dopóki zapas starczy z **20** na **10 mk.,**
:: :: z przesyłką i opakowaniem 11.00 mk. :: ::
Medal pamiątkowy z popiersiem Chopina **srebrny** z **12** na **8** mk.
Medal bronzowy wraz z étuit 3,50 za **2,50** mk.
Poznań, ul. Długa 8 126
Karol Kozłowski, wydawca

Brazylia. Informacyi o tym kraju udziela autor **„Przewodnika dla wyjeżdżających do Brazylii“** za nadesłaniem dwóch marek pocztowych jakiegokolwiek kraju

Adresować: **Fel. Bern. Zdanowski, Wien VIII/2, Laudongasse 57.**

Gorzelnik, Polak, kawaler 30 lat, przystojny, obecnie w dobrej posadzie na obczyźnie, pragnący się ożenić z Polką, poszukuje **towarzyszki życia.** Panienki z wykształceniem, skromnem wychowaniem, od lat 20—25, raczą łask. swe oferty nadesłać ile możności z fotografią i podaniem bliższych stosunków pod lit. **J. L. 20 Bronnbach** a./Tauber **Baden.** Anonimy wykluczone. Dyskrecya rzecz honoru. 138

Kawaler, cukiernik z dobrym charakterem, liczący 29 lat, 1,74 mtr. wysoki, poszukuje dla braku znajomości pań na tej drodze **żony.** Panny z dobrej rodziny, inteligentne, miłej powierzchowności, posiadające 4 do 6,000 mk. w gotówce, zechcą łaskawie zgłoszenia z dołączeniem fotografii nadesłać pod lit. **P. B. 977 Schöneberg-Berlin Postlagernd** 133

Kto szuka:

pracy,
posady,
służby,
mieszkania,
zbytu towarów,
reklamy wyrobów
dzierżawy,

kto potrzebuje:

rządzców,
urzędników,
ekonomów,
leśniczych,
pomocników,
pokojówek,
kucharzy,
kucharek,
służby,

kto chce:

nająć mieszkanie, kupić lub sprzedać majątki, goścince, handle, gospodarstwa itd., pożyczyć pieniędzy, lub podać cośkolwiek do wiadomości ogółu

najlepiej i najtaniej uzyska to przez

ogłoszenia w „Pracy.“

Biegła

Nakładaczka

może się zgłosić do

Drukarni „Pracy“
Poznań, ulica Rycerska 38.

Dnia **10-go maja** r. b. o godz. 4-tej po południu odbędzie się w Poznaniu na sali Domu Katolickiego, Św. Marcin 69, 137

zwyczajne walne zebranie „WESTY“

Banku wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu,

na które uprawnionych do głosowania członków (§ 7, 8 i 9 ustaw) niniejszem uprzejmie zapraszamy, nadmieniając, że karty wstępu za okazaniem certyfikatów resp. polis wraz z kwitem na ostatnią składkę wydawać będzie biuro nasze od 1-go do 9-go maja b. r. w godzinach biurowych. Zastępcy winni się zaopatrzyć w odpowiednie pełnomocnictwo (§ 9 ustaw.)

Porządek obrad:

1) Przedłożenie sprawozdania, bilansu i rachunku zysków i strat za rok 1909,
2) Sprawozdanie komisyi rewizyjnej,
3) Przyjęcie bilansu i podziału zysku,
4) Udzielenie pokwitowania Zarządowi i Radzie Nadzorczej,
5) Wybór dwóch członkow Rady Nadzorczej,
6) Wybór członków Komisyi Rewizyjnej.

Poznań, dnia 26-go kwietnia 1910.

„WESTA“ Bank wzajemnych zabezpieczeń na życie w Poznaniu.
Dyrektor generalny: **Dr. Mieczkowski.**

„WIARUS POLSKI“

Codzienne pismo ludowe, poświęcone oświacie, oraz sprawom narodowym, politycznym i zarobkowym

wychodzi sześć razy tygodniowo
nakładem p. Jana Brejskiego

i ma dodatek religijno - powieściowy pod tytułem

Posłaniec Katolicki

redagowany przez misyonarza polskiego na wychodźtwie

oraz dodatek dla dzieci i młodzieży pod tytułem

„Szkółka Narodowa.“

Wszyscy abonenci są ubezpieczeni na
300 mk.
na wypadek śmierci wskutek nieszczęśliwego wypadku.

„WIARUS POLSKI“ jest pismem na wskroś katolickiem i narodowem a opierając się na szerokich kołach ludu polskiego broni energicznie jego interesów i szczegółowo zajmuje się sprawami społecznemi. Podaje też wiadomości o nabożeństwach polskich, o posiedzeniach, o pracy licznych na obczyźnie towarzystw i t. d. i t. d.

Przedpłata wynosi
bez odnoszenia

na 3 miesiące . 1 mr. 80 fen.
na 2 miesiące . 1 mr. 20 fen.
na 1 miesiąc . — 60 fen.

Za odnoszenie płaci się 14 fen. miesięcznie

Numery okazowe wysyła się darmo i franko za zgłoszeniem się pod adresem:

— WIARUS POLSKI, BOCHUM —

Abonujcie i polecajcie „Pracę.“

Nr. 18. Poznań, dnia 1 maja 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TRZECI MAJ.

Potężnym jest naród, którego dzieje pisano krwią jego czynów, którego sławę rozniosły po świecie błyski szabel i wydzwoniły podkowy kopyt końskich. W im więcej rzekach poił naród jakiś konie swoje, im więcej wiekopomnych, koliskiem światła i chwały otoczonych zwycięstw wychyla się ku nam z jego przeszłości, im więcej Maratonów i Grunwaldów zapisano złotemi głoskami na jasnych kartach jego dziejów, tem większy jest ten naród, większa jego sława i rola i znaczenie w chórze narodów, tem większa podstawa i prawo do bytu, bo tem większa zasługa i praca w pochodzie ludzkości...

A przecież... Czy naprawdę czyny wojenne chociażby najświetniejsze wystarczą same? — Naprawdę nie! Czyż nie przewalały się w pomroce dziejów narody, odznaczające się bezwątpienia ogromną dzielnością i męstwem, a gdzież one dzisiaj? Zginęły jak piasek w morzu, jak atom w ogromie wszechświata, stało się z nimi to, co się dzieje z każdą materyą bezduszną, z każdem ciałem, kiedy je duch opuści. Bo jak poszczególny człowiek, tak i naród cały żyje nietylko fizycznie, ale i duchowo. I te właśnie przejawy życia duchowego, te czyny i płody życia narodu, zyskują mu wielkość, są tą „arką przymierza między dawnemi a przyszłemi laty“, są tą świetlaną nicią przewodnią, około której oplata się jego historya, przy której czyny jego materyalne i orężne nabierają dopiero właściwego blasku i znaczenia. Stąd też zdobycze duchowe będą dla narodu każdego tym skarbem najdroższym i największym, którego „płomień nie rozgryzie i mieczowi nie skradną złodzieje“. I chociażby organizm polityczny takiego narodu popadł w chwilową niemoc, to duch ujdzie cało, bo jest nieśmiertelny.

Jesteśmy narodem, który nie potrzebuje obawiać się śmierci. Zapewnia nas o tem „ta przeszłość wiekowa, co w swojem łonie tyle sławy chowa“, sławy zdobytej nietylko „na polu chwały,“ ale i w dziedzinie ducha. Naród, który rozwiązywał kwestye narodowościowe, religijne, społeczne bez zbrodni i morderstw skrytobójczych, naród, którego nietylko „miecz był jedyną harfą“, ale czasem i „harfa jedynym mieczem“, taki naród napewne nie zginie, jego „malowanych dziejów płomień nie rozgryzie“.

Trzeci Maja. To jedna z najpiękniejszych chwil naszej świetlanej przeszłości.

Wśród różnych kierunków i dążności, z jakich składa się życie ludzkie, trzy sprawy wybijały się zawsze na pierwszy plan. Kwestye: religijne, narodowościowe i społeczne, dawały zawsze w każdym narodzie najwięcej powodów do najróżnorodniejszych zawikłań, one to szarpały wnętrznościami społeczeństw i narodów, pozbawiając ich nieraz najżywotniejszych sił do życia, o ile dany naród nie miał tyle rozumu, aby je należycie i odpowiednio załatwić. Kwestya religijna już załatwiona, narodowościowa po dłuższej drzemce rozszalała na dobre, idzie przez świat jak huragan, niszczy, deprawuje, czasami podnosi, czasami cofa ludzkość wstecz, zwłaszcza narody niższe etyką i moralnością staczają się po pochyłości do pierwotnego stanu, posługują się we walce środkami, które są zaprzeczeniem wszelkich zdobyczy cywilizacyjnych, bo wracają ludzkość do owych czasów, kiedy człowiek na widok drugiego chwytał za broń. W końcu trzecia, najwięcej potrzebująca ofiar.

Biedne to społeczeństwo, które nie potrafi mądremi ustawami i prawami uporać się z owemi kwestyami, wielki jest naród, który te kwestye potrafi ustosunkować bez zbytnich wstrząśnień, bez wszelkich kataklizmów, bez ofiar z życia ludzkiego.

Możemy się nazwać pod tym względem narodem wielkim, bo naród nasz umiał rozwiązywać owe wszystkie najważniejsze zagadnienia w sposób kulturny i etyczny, spokojnie i po ludzku. W podobny sposób rozwiązał kwestyę w unii Lubelskiej, Brzeskiej a pracę nad rozwiązaniem kwestyi społecznej rozpoczął przez Konstytucyę Trzeciego Maja.

Jużto prądy wolnościowe nie były nigdy obce naszemu narodowi. Trudno tu całe przebiegać dzieje, dość wspomnieć, że już w XVI. wieku pisarze polityczni polscy swemi żądaniami równości praw dla wszystkich wyprzedzili o dwa wieki największych socyologów XVIII. w., dość stwierdzić, że społeczeństwo polskie umiało pojąć w XVIII. wieku ducha czasu, umiało wznieść się do tej szlachetnej wyżyny pojęć, na którą wzbiły się najwięcej wówczas oświecone narody,

a nawet potrafiło wzlecieć jeszcze wyżej. Wszak Konstytucya Trzeciego Maja to prawdziwa gwiazda, jaśniejąca wśród wszystkich innych podobnych wypadków dziejowych. Przyszła nie zbroczona krwią, jak jej starsza siostrzyca francuska. Rodzicami jej rozum i dojrzałość polityczna, a nie kat i gilotyna. Przyszła, aby ludzi uszlachetniać i podnieść, a nie ze świata usuwać. I na tem polega jej wielkość, a chociaż nie była doskonałą i zupełną, to nie była gorszą od innych współczesnych, a miała nad niemi tę wyższość, że nie skąpała się w morzu krwi, że nie okupiono jej tysiącami żywotów ludzkich.

Jest więc Konstytucya Trzeciego Maja naszą chlubą prawdziwą, jest naszem świadectwem dziejowem, że naród polski był zdolny rozwiązywać najzawilsze kwestye w sposób ludzki, a nie zwierzęcy, co jest przecież najważniejszą zdobyczą cywilizacyi i kultury i jej pierwszym zasadniczym warunkiem. Jest dalej ona wskazówką, że tylko w uspołecznieniu i uobywatelenia wszystkich mas narodu leży nasze „zbawienia słońce.“

Nie wolno nam schodzić z drogi, którą kroczyli nasi przodkowie, tworząc owe wiekopomne dzieła, nie wolno nam zapominać, że twórcami tych dzieł były: wysoka kultura, rozum i uczucie miłości. O te cnoty nam się starać i te cnoty wykształcić w sobie musimy.

Niechże tedy owe wielkie święto Trzeciego Maja będzie dla nas nie tylko przypomnieniem naszej chwały, lecz niechaj nam przypomina również obowiązki, które dla obecnego i przyszłych mamy pokoleń.

Patryotyzm, solidarność narodowa i sprawiedliwość społeczna zrodziły naszą wiekopomną konstytucyę. Niechajże cnoty te rosną w nas i z nami, niechaj z nas naprawdę uczynią jeden wielki naród braci, a moce szatańskie nawet zmódz nas nie zdołają.

Przez łańcuch robotników stojących na drabinie, wędruje cegła w górę. Każdy podaje ją wyżej o długość swych ramion, otrzymując ją od swego poprzednika. Tak samo dzieje się i z budową w dziedzinie ducha ludzkiego. Podających cegły na długość swych rąk jest bardzo wielu — architektów bardzo mało.

* * *

Kto ludzi zbytecznie ceni, kończy zwykle usunięciem się od nich. Lepiej cenić ich mniej, a nie ustawać ich kochać. *Władysław Bylicki.*

Paula Wężyk.

TRZECI MAJ.

Jedna nas ziemia wykarmiła,
Jeden nad nami Bóg i Pan,
Braterska miłość, nasza siła,
Niech żyje równość, każdy stan,
Jeden nam Pan Bóg, jeden kraj,
Wiwat, hej wiwat Trzeci maj!

O, święć pamięci ten maj trzeci,
Co błysnął świtem złotych zórz,
Wszyscyśmy jednej Matki dzieci
I dzisiaj mimo trwóg i burz,
Jeden nam Pan Bóg, jeden kraj,
Wiwat, hej wiwat Trzeci maj!

O, Trzeci maju, cześć ci, chwała
Dziś i w najdłuższy czasów kres,
Choć nas dłoń obca rozerwała,
Choć z oczu płynie strumień łez,
Jeden nam Pan Bóg, jeden kraj,
Wiwat, hej wiwat Trzeci maj!

A gdy się ziemia stroi majem,
Nasza Królowa z niebios bram,
Płynie świetlana po nad krajem
I błogosławi wszystkim nam,
Jedna Królowa, jeden kraj,
Wiwat, hej wiwat Trzeci maj!

W sprawie

Kongresu Narodowego w Waszyngtonie

otrzymujemy z kół amerykańskiego polskiego duchowieństwa obszerny materyał informacyjny, z którego wynika, że tak przedstawiciele duchowieństwa jak reprezentanci organizacyj i czasopism konserwatywnych uchwalili na wiecu zwołanym z polecenia Najprzew. ks. Biskupa Rhodego: usunąć się od udziału w t. zw. Kongresie Narodowym Polskim zwołanym przez Związek Narodowo Polski i to na podstawie rezolucyi, której najważniejszą część przytaczamy w dosłownem brzmieniu.

Czytamy tam:

„Zważywszy, że inicyatorowie Kongresu urządzają go na swoją rękę najzupełniej, nie zasięgając zdania niczyjego nasamprzód co do samej potrzeby i właściwości przeprowadzenia tego projektu w czyn, po drugie, co do stosowności w danych warunkach, bo ostatecznie zależnie od sposobu urządzania Kongresu komplikacye mogą wyniknąć;

Zważywszy, że nie powoławszy do współudziału żadnych z przedstawicieli innych organizacyj, opracowali według swego „widzimi się“ szczegóły programu, i zostawili wszystkich dotychczas w niepewności co do rzeczonych szczegółów;

Zważywszy dalej, że o ile wiadomo, kwestyę naszego narodowego wyznania, która bezsprzecznie najlepszą jest ostoją naszej narodowości w Ameryce, wykluczyli najzupełniej, czego uczynićby nie powinni, bo jeżeli wydawnictwa Związkowe przy mniej doniosłych okazyach zajmują się sprawami religijnemi i parafialnemi, to tem bardziej Kongres Narodowy do swego programu włączyćby je powinien.

Zważywszy wreszcie, że biorąc udział w Kongresie, moglibyśmy członków komitetu wykonawczego utwierdzić w podobnych błędach, wybrykach, szowinizmie organizacyjnym i podobnych herezyach narodowych, coby bezwarunkowo wyszło na niekorzyść i szkodę polskości;

Przeto, nie ze zemsty, ani też postępując podług jakiegokolwiek planu z góry ułożonego, ale litylko dla tego, aby nie stać się propagatorami skażonej myśli patryotycznej i współwinowajcami grzechu rozdwojenia narodowego:

Uchwalamy najzupełniej ignorować sprawę tak zwanego Pierwszego Polskiego Kongresu Narodowego; Brać zaś Związkową prosimy, o takie zaopiekowanie się w przyszłości swoimi przewodnikami, by ci wreszcie doszli do tej miary dojrzałości pod względem narodowym i społecznym, ażeby w końcu zrozumieli, że pragnieniem związkowców, jak i nas wszystkich Polaków, jest wspólna zgodna praca na polu narodowem pod hasłem „równi z równymi, wolni z wolnymi.“

Tyle rezolucya.

Jeżeli sobie uprzytomnimy, że z rezolucyą tą solidaryzuje się olbrzymia większość inteligencyi polsko-amerykańskiej, a przedewszystkiem duchowieństwo, że zatem w konsekwencyi te żywioły, będące reprezentantami wyższej kultury polskiej w Ameryce, udziału w Kongresie nie wezmą, łatwo sobie wyobrazić będziemy mogli jak bardzo niekorzystnie to wpłynie na powodzenie i znaczenie tegoż Kongresu.

Nie znając tamecznych stosunków trudno w tej sprawie wyrokować. Sądzimy jednak, że wielki błąd popełnili ci, którzy zabrali się do zwołania Kongresu, a nie potrafili się urządzić tak, aby właśnie owe wpływowe żywioły, a mianowicie duchowieństwo dla sprawy pozyskać. Jeżeli bowiem już w kraju,gdzie przecież liczne mamy za-

stępy inteligencyi, wszystkim dobrze myślącym zależy na sympatyi i współdziałaniu duchowieństwa, bez czego ważniejsze czynności publiczne nie mają należytego powodzenia, o ile więcej należy się liczyć z duchowieństwem w Ameryce, gdzie wpływ i znaczenie księży wobec dotkliwego braku świeckiej inteligencyi tem silniej się uwydatnia i tem bardziej sympatya ich dla danej sprawy pożądaną być winna.

Na widowni.

Ściślejsze wybory, które się w zeszły piątek odbyły, zakończyły się tak jak się były zakończyć powinny: zwyciężył Polak p. St. Nowicki, gromadząc na siebie 20 059 głosów, podczas gdy niemiecki jego współzawodnik dr. Wims 14 229 głosów pozyskał.

Jeżeli sobie uprzytomnimy, że przed trzema laty polski kandydat otrzymał 21 231 głosów, poznamy, że obecnie przeszło 1100 głosów straciliśmy, podczas gdy niemiecki kandydat w tym samym czasie blisko 2200 głosów przyrostu uzyskał.

Liczby te do smutnych usposobiają rozmyślań. Jednakże zapomnieć nie trzeba, że w obecnym przypadku mieliśmy secesyę, co zawsze bardzo niekorzystnie na udział w wyborach wpływa. Niemcy zaś, spekulując na nasze rozbicie, poruszyli wszystkie sprężyny, aby jaknajwięcej głosów uruchomić, a zdaje się nawet, że znaleźli sukurs ze strony niektórych zbałamuconych przez polskie odezwy, jakie rozrzucali, Polaków.

Ponieważ p. St. Nowicki, jak na prawego Polaka przystało, przesłał Prow. Kom. Wyborczemu oświadczenie, że wbrew woli władzy wyborczej mandatu nie przyjmie, przeto zajmował się zjazd delegatów jego sprawą i na środowem posiedzeniu na wniosek Prow. Komitetu Wyborczego kandydaturę p. Nowickiego ulegalizował. *Pan Nowicki jest zatem naszym legalnym posłem.* Sprawę całą załatwiono pokojowo i tak jak tego położenie rzeczy wymagało.

Jak wiadomo upatrywała część społeczeństwa w politykach grupujących się dokoła „Kurjera Poznańskiego“ i Towarzystwa Demokratycznego właściwych inicyatorów i propagatorów secesyi. Podejrzenie to odpierano z tamtej strony energicznie, lecz z wątpliwym skutkiem. Dobrze się zatem stało, że nareszcie faktycznie twórcy i zelatorzy secesyi uchylili przyłbicy i w oświadczeniu zaopatrzonem w kilkaset podpisów rozwiedli się o powodach secesyi i wyłuszczyli swe żale i dezyderaty. Lektura tego oświadczenia i pieczętujących je podpisów bardzo jest instruktywna. Nie wdając się w specyalny rozbiór rzeczonego oświadczenia, tyle powiemy, że szczególnie ostatnie ustępy, odznaczające się duchem pojednawczym dobre robią wrażenie; szkoda tylko, że w oświadczeniu, w którem się wzywa swych zwolenników, by urazy od przeciwników doznane darowali, nie prosi się też o przebaczenie społeczeństwa, że mu się zgotowało bądź co bądź wielką krzywdę. Można być rozmaitego zdania co do tego, czy Komitet Prowincyonalny dobrze czy źle zrobił stawiając kandydaturę p. Sosińskiego. Co do secesyi jednak tylko jedno może być zdanie. Wyraził je jasno i dobitnie p. dr. Zygmunt Celichowski na wiecu relacyjnym w Śremie, potępiając secesyę bezwzględnie, jako akt wyrządzający nieobliczalne szkody społeczeństwu.

Podczas gdy w kraju wciąż jeszcze jest na porządku dziennym sprawa ostatnich wyborów, posłowie nasi w Berlinie przy obradach nad etatem ministerstwa oświecenia wytaczają skargi i słuszne żądanie w sprawie naszego upośledzenia w dziedzinie szkolnej i wyznaniowej. Niestety jak zazwyczaj bez należytego skutku, gdyż ministrowie na najwymowniejsze argumenty odpowiadają w znany dostatecznie sposób. Przy tej sposobności zaznaczyć także należy, że znów uwydatniły się skargi na polskich posłów sejmowych, że nie udzielają swym mówcom dostatecznego moralnego poparcia, gdyż np. przy świetnej mowie ks. prałata Stychla było tylko dwóch polskich posłów obecnych pp. Szuman i prof. Schroeder. Byłoby to jeszcze pół biedy. Gorzej jest, jeżeli wskutek nieobecności Polaków przechodzą — jak się to stało nie raz w parlamencie — zarządzenia antypolskie, lub upadają własne Polaków wnioski.

W miejsce skradzionych przez niecnych świętokradzców koron obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej ofiarował Ojciec Święty nowe korony wartości 200 tysięcy lir. Wręczenie tych koron deputacyi polskiej, na czele której przybyli do Rzymu liczni polscy biskupi i dygnitarze tak duchowni jak świeccy, odbyło się z wielką uroczystością w sali konsystoryalnej w Watykanie. Po odczytaniu przez ks. arcybiskupa Bilczewskiego adresu dziękczynnego, wygłosił Ojciec św. allokucyę w języku włoskim, zapewniając gorącemi słowy o miłości ojcowskiej, żywionej przez Stolicę Apostolską dla narodu polskiego, przyczem podkreślił ważność chwili obecnej. Następnie wyraził Ojciec św. nadzieję, że naród polski pozostanie zawsze wierny religii rzymsko-katolickiej, i że zawsze czcić będzie specyalnie Najświętszą Pannę — Królowę Polski, zakończył zaś wezwaniem do Matki Boskiej Częstochowskiej o łaski dla ludu polskiego, oraz błogosławił obecnych i upoważnił biorących udział w uroczystości biskupów i proboszczów do udzielenia błogosławieństwa Apostolskiego całemu narodowi.

Delegatów powracających zeszłej niedzieli z koronami z Rzymu przyjmowała w Granicy specyalnie z Częstochowy wysłana delegacya. W Częstochowie samej oczekiwały przywiezione z Rzymu korony nieprzejrzane rzesze wiernego ludu z duchowieństwem świeckiem i zakonnem na czele. Cechy, bractwa, korporacye, młodzież szkolna procesyonalnie towarzyszyły pochodowi na Jasną Górę. Tutaj odprawił O. generał Rejman uroczystą sumę z asystą. Po Ewangelii, na ambonę wszedł ks. prałat Rembeliński. Dostojny kaznodzieja opowiadał między innemi, jako Ojciec św., przyjmując delegacyę oświadczył, że gdy tylko dowiedział się o niesłychanem świętokradztwie, zapłakał razem z ludem polskim i pragnąc otrzeć łzy ludu, postanowił niezwłocznie ofiarować korony na miejsce świętokradzko zrabowanych. W końcu kaznodzieja zaznaczył, że Ojciec św. polecił pozdrowić cały polski naród i że przesyła wszystkim błogosławieństwo apostolskie, oraz ustanawia 100 dniowy odpust za każde pobożne wymówienie: „O najświętsza Panno Maryo Częstochowska ratuj nas!“ Lud, słuchając słów podniosłych kaznodziei, rzewnie płakał. Podczas sumy korony spoczywały po lewej stronie ołtarza, po sumie zaś złożono je w skarbcu.

Do licznych dowodów szczególniejszej dla narodu polskiego łaskawości, dołączył Ojciec św. przez ten dar wspaniały nowy dowód swej dla Polaków miłości i wzmocnił przez to węzły wierności i miłości, które naród nasz po wsze czasy ze Stolicą Apostolską łączyły i łączyć będą zawsze.

Przy tej sposobności warto przypomnieć, że w Moskwie w katedrze prawosławnej na Kremlu wydarzyły się również wielkie świętokradztwa. Wytoczono śledztwo i pokazało się,

że skarbiec patryarchatu moskiewskiego jest zupełnie obrabowany. W skarbcu tym znajdowały się klejnoty bajecznej wartości dla całego Wschodu prawosławnego. Wszystkie drogie kamienie zastąpiono fałszywemi. Izba synodalna posądza o kradzież popów, którym polecono pieczę nad skarbcem. Wobec olbrzymiej kradzieży, dochodzącej do kilku milionów rubli, odbędzie się prawdopodobnie rewizya wszystkich skarbców cerkiewnych.

W Niemczech wielką konsternacyę wywołało zniszczenie „Zeppelina II.“ Balon ten odbył zeszłego roku podróż z jeziora Bodeńskiego do Bitterfeldu. Obecnie zniszczony jest doszczętnie tak, że o naprawie mowy być nie może. Balon stał od soboty na kotwicy pod miejscowością Linter. W poniedziałek porwany przez wicher spadł w Weilburgu nad Lahną zupełnie roztrzaskany. Na szczęście nikt z ludzi życia nie stracił. Snać przeczeka się jeszcze p. radca Martin, aż pruskie bataliony na Zepelinach uniosą się po nad kanał do Anglii. Daleka jeszcze droga do opanowania powietrza.

Wynik wyborów do parlamentu we Francyi równa się mniej więcej wynikowi ostatnich wyborów z roku 1906, czyli że republikanie, a tem samem i gabinet, odnieśli zwycięstwo.

Największe osobiste zwycięstwo odniósł prezes ministrów Briand, wybrany w Saint Etienne 9426 głosami większości przeciw zjednoczonemu socyaliście Lorrisowi. Wszyscy inni członkowie gabinetu, z wyjątkiem Milleranda, zostali już również powtórnie wybrani. Millerand przyjdzie 8-go maja do ściślejszych wyborów z nacyonalistą Pechin'em. Również sędziwy marszałek parlamentu Brisson poddać się musi w Marsylii wyborom ściślejszym. Jest on jedynym z republikanów, który stracił bardzo wiele głosów, do czego najwięcej przyczynił się strejk marynarzy. Zaznaczyć jeszcze należy, że sufrażystka Małgorzata Durand otrzymała 400 głosów. Na ogół odbywały się wybory dość spokojnie, nie brak jednakże było także wykroczeń i scen burzliwych. Tak n. p. w gminie Penmerit pod Quimper uwięziła ludność konserwatywnego kandydata Servigny i trzyma go pod strażą. We Foix, w departamencie Ariège, spalono protokóły wyborcze z trzech gmin i dwie urny.

Najpoważniejsze wybryki wydarzyły się w Chambon Fengerolles gdzie spalono ratusz, a pomiędzy strażą pożarną a demonstrantami doszło do bójki, w której zraniono kilku strażaków; nadeszła żandarmerya, a podczas rozpędzania demonstrantów zabito jednego żandarma i kilku zraniono.

Z TEATRU.

Znakomitym znawcą gustu naszej publiczności okazał się p. Kosiński.

Mimo słabnącego zazwyczaj pod koniec sezonu zainteresowania się teatrem, mimo operowych cen, zwabił benefis p. Kosińskiego tyle publiczności do teatru, że miejsca dla pomieszczenia wszystkich nie starczyło. Na balkonie pierwszego piętra i w niektórych łożach panował ścisk niesłychany.

Dawano niewybredną farsę Najaca i Hennequina pt. „Pieszczoszek,“ w której benefisant znalazł wdzięczne pole popisu. Także reszta występujących artystów grała z życiem i werwą i wywiązała się z zadania znakomicie.

W następującym „wieczorze artystycznym“ uczestniczyli z zupełnem powodzeniem: benefisant, którego zasypywano kwiatami i upominkami, pp. Lelewicz i Huss oraz pani Floriani i państwo Faliszewscy. Liczni wielbiciele talentu pani Floriani powitali występującą znakomitą artystkę owacyjnemi oklaskami. Pani Floriani zniewolona owacyą dodała po nad program prześliczną Barcarolę Leoncavalla, której tekst przetłumaczyła na język polski.

Obok benefisów dalszą atrakcyą dla naszego teatru były gościnne występy p. Tracewskiej z Warszawy.

Widzieliśmy artystkę jako Halkę i jako Neddę w „Pajacach.“

Pani Tracewska posiada bardzo ładny materyał głosowy, jednakże postawienie głosu szczególnie w wysokich tonach pozostawia do życzenia. Wielką zaletę artystki stanowi jej wybitny talent aktorski, który wrażenie śpiewanego słowa znakomicie potęguje.

Partyę Tonia śpiewał z wielkiem powodzeniem p. Szeller. Pana Laymana, który ostatni raz wystąpił na naszej scenie jako Canio, żegnano owacyjnie.

Na koniec jeszcze krótko należy wspomnieć o benefisie pp. Faliszewskich, który miał powodzenie niebywałe. Dawano dwie jednoaktówki: „Burzę w szklance wody“ znakomicie przez panią Bogusińską, p. Borońskiego i pannę Zielińską zagraną i operetkę pt. „Piosnki Tyrolskie,“ w której to sztuce pp. Lelewicz, Kopczyński i Miłosza, oraz p. Krajewska wdzięczne znaleźli pole popisu. Ogólnie się podobał „Zaczarowany flet,“ pantomima baletowa ułożona przez pana St. Faliszewskiego do muzyki młodego poznańskiego kompozytora p. Czechowskiego. Wielce efektowny „Taniec Torreadorów“ niemilknące wywołał oklaski, tak że rzecz tę powtórzyć było trzeba. Państwo Faliszewscy zaprawdę nie mogą się skarżyć na obojętność publiczności. Obsypano ich literalnie kwiatami i rozmaitemi upominkami. Świetnego tego sukcesu winszujemy sympatycznym artystom z całego serca, a wyrażając życzenie, aby na przyszły sezon powrócili do Poznania, wiemy, że dajemy wyraz powszechnej u nas dla utatentowanych artystów sympatyi.

R.

Wiadomości.

— **Jubileusz dwudziestopięcioletni** swego zawodu obchodził dnia 23-go z. m. długoletni zarządca naszej drukarni p. *Józef Kokornaczyk.*

Szanownemu Jubilatowi i gorliwemu naszemu współpracownikowi życzymy, aby się doczekał złotego jubileuszu przy czerstwem zdrowiu.

— **Z teatru.** *W sobotę, dnia 30-go kwietnia benefis p. W. Ruszczyca-Zdżarskiego:* „Złodziej z zamiłowania“, komedya w 4-ech aktach z angielskiego. Nie wątpimy, że teatr na benefisie tego uzdolnionego artysty wypełni się po same brzegi.

Benefis p. Jerzego Borońskiego odbędzie się w sobotę dnia 7-go bm. Odegraną będzie komedya w 3-ech aktach Engla i Horsta p. t. „Szczęście do kobiet.“

Pan Boroński cieszy się w szerokich kołach ogólnem uznaniem i osobistą sympatyą, więc chyba zbytecznem zachęcać publiczność do wykupienia biletów na wzmiankowany wieczór benefisowy, aby tem dać dowód, że umiemy cenić starania i pracę p. Borońskiego. Niech więc wieczór benefisowy będzie dla p. B. pełnem zadowoleniem za sumienną jego pracę a także dowodem szczerej dla niego sympatyi.

— **Z nadesłanego nam sprawozdania** Szpitala dziecięcego św. Józefa w Poznaniu przy ulicy Piotra nr. 7 za rok 1909 wyjmujemy następujące szczegóły: Frekwencya chorych, leczonych w szpitalu Dziecięcym św. Józefa w roku 1909 była znów bardzo wielka. Czasami tylko z wielką trudnością można było pomieścić wszystkie zgłaszające się dzeci. Potrzeba powiększenia szpitala i pomnożenia ilości łóżek okazuje się coraz naglejszą, ale

niestety zarząd tej potrzebie z powodu braku funduszów chwilowo zaradzić nie może. Dług bowiem ciążący na szpitalu z powodu ostatniej budowli jeszcze nie został umorzony, chociaż zmniejszył się o przeszło 6000 mrk. zebranych za broszurki, wydane przez kapelana zakładowego ks. Bajerowicza.

Wobec zwiększonej liczby chorych, którzy teraz w nowym szpitalu znajdują pomieszczenie, zwiększyło się znacznie zapotrzebowanie bielizny i okazało się, że dotychczasowa pralnia i suszarnia już nie wystarczają. Musiano więc przystąpić z początkiem jesieni do pobudowania nowej pralni i suszarni. Miejsce pod ten budynek wybrano w ogrodzie obok pawilonu dla szkarlatyny. Nowy ten budynek dwupiętrowy będzie na parterze mieścił pralnię i suszarnię, w piwnicach kotły, pierwsze zaś piętro z osobną klatką schodową przyłączy się do oddziału szkarlatynowego, a na drugiem piętrze będzie osobny oddział dla dzieci, chorych na żarnice. Budynek ten jest już obecnie pod dachem i pracuje się nad wykończeniem wewnętrznem.

W roku ubiegłym umarł członek kuratoryum szpitalika ś. p. ks. prałat dr. Lewicki, proboszcz Świętomarciński. Cześć Jego pamięci!

Dochody swoje bieżące zawdzięcza szpital, jak w latach poprzednich, subwencyom Wysokiego Sejmu Prowincyonalnego, Prześwietnego Magistratu miasta Poznania, sejmików powiatowych i ofiarom dobrowolnym osób prywatnych.

Wszystkim tym korporacyom, jako i dobrodziejom składa zarząd najszczersze podziękowanie za skorą, a tak niezbędną pomoc, polecając nadal chorą, cierpiącą dziatwę łaskawej pamięci tych, którym Pan Bóg dał dobre i czułe serce.

Lekarze ordynujący w szpitaliku św. Józefa pozostali ci sami.

Zarząd wewnętrzny spoczywał jak dawniej w rękach Sióstr Miłosierdzia.

Do Kuratoryum Szpitalika Dziecięcego w

KOJARZYCIEL MAŁŻEŃSTW.

Napisał H. Kasparek.

(Przedruk wzbroniony.)

Doktor Leon pchał taczkę kawalerskiego życia. Nie można zresztą uważać stanu tego jako zasługę, lecz i do ujemnych stron życiowych wziąć go nie należy. Dr. Leona możnaby zaliczyć do „ciężkiej gwardyi;“ niechęć jego do stanu małżeńskiego wypływała z przekonania, że kobieta nowoczesna nie umie gotować.

Pan Leon „czuły“ na dobrą kuchnię, pozostał przy sposobie gotowania starej gosposi, która znając gust swego pana, jedynie pod względem przyrządzania potraw dogodzić mu umiała. Pan doktór pozostał więc starym kawalerem i to w stopniu tak beznadziejnym, że i nawet szalony Anglik nic dałby złamanego szeląga na zakład, że pan Leon uchyli czoła przed hymenem. Nie dziw więc, że matki obdarzone dojrzałemi córkami, wskazywały na pana doktora jako na typ człowieka, u którego miłość poczyna się nie w sercu — tylko w żołądku. Kto zresztą znał bliżej pana Leona wiedział, że pan doktor nie był zaciekłym „materyalistą,“ lecz miał przekonanie, że panna zamiłowana w gospodarstwie, posiadać musi i inne korzystne zalety charakteru. Sztuka gotowania stanowiła w pogawędkach jego temat, nad którym z lubością się rozwodził, krytykując i ubolewając nad upadkiem tej zacnej sztuki nie tylko w ogólności, lecz szczególnie w najbliższem swem otoczeniu.

Podobną mowę wygłosił dziś pan Leon na „herbatce“ u radcy Kandlera. Pan radca, który niedawno sprowadził się z okolicy do miasteczka, chętnie przyjmował pana doktora, który mimo swej odrazy do „płci pięknej“ był bardzo miłym i pożądanym w towarzystwie.

— Więc pan doktor o tem przekonany, że sztuka kucharska nowoczesnej kobiety nie zajmuje, zapytała panna Kasia, najstarsza córka pana radcy. Komplimentu w tem dla nas biednych kobiet dopatrzeć się nie mogę, przekonanie pańskie jednak chociaż na podstawach mylnych oparte, jako takie uszanować trzeba.

— Ciekawy jestem jednakże, czy łaskawa pani umiałaby zmienić moje przekonanie. Pozwolę sobie uprzejmie zwrócić uwagę łaskawej pani, że dotychczasowe doświadczenia przekonanie moje tylko ustaliły. Naturalnie, umiejętność pani co do gotowania w rachubę nie wchodzi, gdyż nie śmiem jej krytykować.

Na to i pani radczyni, która w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie, raczyła się wmieszać w dyskusyę.

— Pozwól pan, że zaproponuję mu co następuje:

Chcę ratować przez pana nadszarpniętą reputacyę nowoczesnych kobiet i dla tego — tu pani radczyni ruchami i głosem dopomaga sobie do nadania wyrazom komicznej powagi — zapraszam go niniejszem na obiad. Dzień wybierz pan sobie sam, a przekonasz się, że nawet z pomocą skromnych dopraw smaczne potrawy przyrządzić można. Spodziewam się, że krytyka niezbyt surowa wypaść musi na moją korzyść.

Pan doktor chętnie zgodził się na tę propozycyę, i już po kilku dniach niespodziewanie stawił się u pani radczyni na obiad.

Pomijając poszczególne stopnie przemiany w nawracaniu Szawła na Pawła, sprawdzić można było, że humor pana Leona wyśmienitym zwykle bywał po obiadkach u radcostwa. Wreszcie nie mogąc dłużej pohamować swej niecierpliwości, zapytał razu pewnego panią radczynię z udaną powagą w głosie: Wybacz łaskawa pani mą ciekawość, lecz proszę mi powiedzieć, czem nadać można nawet najzwyczajniejszej potrawie tak wyśmienity, miły a mocny smak?

Na to pani radczyni przywołała służącą: — Moja Marysiu, proszę przynieś no tylko mego „przewodnika kucharskiego.“

— A więc to łaskawa pani nazywasz swym pomocnikiem kucharskim? — Toż to „Liebiga ekstrakt mięsny!“ Wytwór ten znałem wprawdzie już dawniej, lecz nie wiedziałem, że potrawy przez dodatek ekstraktu i za jego pomocą tak smacznemi i pożywnemi uczynić można.

— A więc przekonałam pana — śmiała się radczyni — widzisz teraz, że gotowanie nie jest tak wielką sztuką i że nasze przez pana surowo krytykowane kobiety nowoczesne doskonale ją znają.

Dr. Leon uznał się pokonanym. Widoczna zaszła w nim zmiana. Przyjaciele i znajomi zauważyli nawet u niego pewien elegijny nastrój ducha — dowodzili, że pan doktor po przekonywających próbach nie ma niby powodu do częstszego raczenia się potrawami przyprawianemi z pomocą ekstraktu Liebiga w domu radcostwa i to go napełnia takim smutkiem.

No i epilog tej historyi: pan doktor w cylindrze, fraku i białych rękawiczkach stanął przed panem radcą i jego małżonką prosząc o rękę córki Kasi.

Od tego czasu plakaty wielkie z napisem: „Tutaj nabyć można Liebiga ekstrakt mięsny“ zdobią okna wystawne interesów poszczególnych w miasteczku X. Dla dobrego przykładu używają Liebiga ekstrakt mięsny, wszystkie zacne gosposie w rodzinach „bogatych w córki.“ Liebiga ekstrakt mięsny uważany jest wręcz jako dobra przynęta na zatwardziałych kawalerów i jako znakomity środek ujarzmiania tychże.

Domu św. Józefa należą pp. W. Jerzykiewicz i L. Mizerski, poseł.

— **Żnin.** Na odbudowanie wieży kościoła parafialnego w Żninie złożyli w dalszym ciągu pp. Sobczak z Gogułkowa 15 mrk., E. Malewska z Monasteru 31 mrk., F. Lapis z Żnina z procesu polubowego 3 mrk., M. Filińska z Krotoszyna p. Barcinem 2 mrk., K. Sporny z Jaroszewa 2 mrk., I. Świtała z Jaroszewa 4 mrk., S. Słomkowski z Sarbinowa 10 mrk., M. Jabłoński z Żnina 10 mrk.

„Bóg zapłać!“ Każdy ofiarodawca otrzyma na pamiątkę -piękny obrazek cudownej Matki Boskiej Żnińskiej.

Ks. W. Jasiński, administrator.

Nekrologia.

† **Ś. p. Marcyanna z Bogdańskich Bogdańska,** dnia 23-go z. m. w Ostrowie. — **Ś. p. Urban Cieślarczyk,** dnia 23-go z. m. w Poznaniu w 70-tym roku życia. —**Ś. p. Nepomucen Kęszycki,** dnia 24-go z. m. w Wschowie, w 90-tym roku życia. Pogrzeb odbył się dnia 28-go z. m. w Błociszewie. — **Ś. p. Faustyn Piotrowski,** dnia 23-go z. m. w Poznaniu w 61-szym roku życia. — **Ś. p. Rozalia Litewska,** dnia 24-go z. m. w Gniewie (Prusy Zach.) w 55-tym roku życia. — **Ś. p. Maryanna Tokarska z domu Jankowska,** dnia 23-go z. m. w Berlinie w 76-tym roku życia. — **Ś. p. Atanazy Jordan,** dnia 25-go z. m. w Poznaniu w 77-mym roku życia. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu Janowi S. w K** — Uznajemy dobre chęci Szan. Pana, jednakże wiersz jest tak słaby, że go zamieścić nie możemy. Naucz się Szan. Pan przedewszystkiem pisać prozą dobrze, t. j. poprawnie co do stylu, gramatyki, ortografii i t. d.; wyjdzie to z pewnością Szan. Panu na pożytek.

— **„Szalonemu“ wielbicielowi Stasi.** — Wiersz Szan. Pana rzeczywiście „szalony“ powędrował do kosza!

— **Panu M. S. na prowincyi.** — W zadaniach logogryfowych używa się do tematu tylko nazwiska ludzi wybitnych. Nazwiska układających łamigłówkę obrane za temat, to rzecz, naszem zdaniem, niewłaściwa.

— **Panu L. B. w Poznaniu.** — Listów anonimowych nie uwzględniamy. W tym właśnie przypadku trzeba było wystąpić z otwartą przyłbicą.

— **Panu H. P. w T.** — 1) Wierszyk co do treści ładny, ale forma słaba. 2) Z powodu nawału już przeznaczonego do druku materyału nie możemy z oferty Szan. Pana korzystać.

Panu Fl. Żór. — Wierszyków przeciw **legalnym posłom** „Praca“ nie zamieszcza tym więcej jeżeli autor nie ma odwagi ich podpisać

Nowe książki i treść pism.

— **Michał Szuca: O pochodzeniu człowieka.** Nr. 23. „Głosów na czasie.“ Poznań 1910. Nakładem i czcionkami drukarni i księgarni Św. Wojciecha, stron 94. Cena 60 fen.

Autor w zajmujący, jasno zrozumiały i treściwy sposób rozwodzi się o kwestyi pochodzenia rodu ludzkiego i przekonywująco zwalcza materyalistyczny monizm Haeckla, który zresztą w świecie prawdziwie naukowym zupełnie stracił kredyt.

Bardzo ładną przedmowę do tej broszury napisał ks. K. I. Kantak.

Broszurę tę jak wogóle wszystkie inne dziełka, które w wydawnictwie zbiorowem „Głosów na czasie“ się pojawiły, polecamy jaknajgoręcej.

— **„Kupca,“** wychodzącego w Poznaniu 1-go i 16-go każdego miesiąca numer 8-my zawiera, jak zwykle, bogatą treść artykułów z dziedziny handlu i przemysłu.

Kupcom i przemysłowcom polecamy zapisanie sobie na poczcie „Kupca,“ prenumerata kwartalna wynosi tylko 1 mrk., z odnoszeniem do domu 1,06 mrk.

— **„Miesięcznika kościelnego“** ukazał się zeszyt 17-ty na maj i zawiera:

Episkopat i Prezbyterat w Piśmie św. Nowego Testamentu. (Ciąg dalszy.) (Ks. Karol Michalski C. M.) — Zapatrywania J. Dunsa Scota na własność. (Ks. Dr. St. Zegarliński.) — O testamentach z uwzględnieniem potrzeb duchowieństwa. (Dokończenie). (Mec. Stanisław Zalewski.) — Chrześcijański mistrz piękna. (Dr. Kazimierz Lubecki.) — Koncert religijny w Poznaniu. (Dr. phil. et mus. J. Kromolicki.) — Zapiski. — Rozporządzenia władz kościelnych — Orzeczenia władz świeckich. — Nowe książki. — Wzmianki. — Zestawienia. (Z.) — Zawiadomienia.

Reklamy.

„PRACĘ“

zapisywać można na miesiące maj i czerwiec na wszystkich urzędach pocztowych w Niemczech i w Austro-Węgrzech a w Poznaniu w administracyi i ekspedycyi naszej przy ulicy Rycerskiej nr. 38 od frontu I piętro na prawo.

Przedpłata na maj i czerwiec wynosi 1 markę.

Kwity pocztowe na miesiące maj i czerwiec zamieszczone są pod okładką.

Przedstawienia pasyjne w Oberammergau.

Skreślił

Ks. Józef Małecki.

(Dokończenie.)

IV.

Teatr w Oberammergau.

Pierwotnie urządzano w Oberammergau — tak jak w innych miejscowościach — przedstawienia pasyjne w kościele; następnie zaś odbywały się one na cmentarzu sąsiadującym z kościołem. Gdy w roku 1830 miejsce na cmentarzu okazało się za szczupłem i za niewygodnem z powodu mnóstwa mogił i pomników, przeniesiono się na obszerną polanę za wsią, gdzie przed sceną wybudowano prowizoryczny namiot.

Obywano się nim do roku 1890. Przy końcu roku 1899 wzniesiono okazałą halę według wskazówek monachijskiego inżyniera Schmuckera, jakiej drugiej może w Europie nie ma.

Koszta budowy wynosiły 220.000 marek. Kolosalną halę podtrzymuje sześć potężnych żelaznych łuków, z których każdy waży 400 centnarów; urządzono około 4000 miejsc numerowanych i mniej więcej 300 miejsc do stania.

Scenę wybudowano w stronie zachodniej. Efekt świetlany, wywołany promieniami słońca w godzinach popołudniowych tak przedziwnie jest pięknym, tak czarujące sprawia wrażenie, tak doskonale harmonizuje z scenami męki i konania Chrystusa na krzyżu, że nie zaciera się nigdy w pamięci widzów.

Kurtynę zdobią trzy postacie nadnaturalnej wielkości, po mistrzowsku wykonane kopie Mojżesza, Izajasza i Jeremiasza według oryginałów wielkiego Michała Anioła. Gdy kurtyna przednia się rozchyla, ukazuje się druga kurtyna, upiększona skromnymi rysunkami w stylu byzantyjskim. Po bokach kurtyny wznoszą się dwie korynckie kolumny, na których spoczywa wielki przyczołek z pięknym obrazem przedstawiającym „Chrystusa nauczającego rzesze.“ Z lewej i z prawej strony przylega do sceny wielka brama, do bramy zaś budynek bogato ornamentowany. Budynek z prawej strony jest pałacem Annasza; z lewej mieszkaniem Piłata; szerokie schody prowadzą do komnat tych dostojników. Wspaniałe kolumnady zdobią strony aż do miejsc dla publiczności przeznaczonych. Między kolumnami wyłaniają się z początkiem każdego aktu „duchy opiekuńcze,“ które powolnym krokiem udawają się na miejsce przed sceną, ustawiają się w półkole i wygłaszają słowa wstępne, objaśniając żywe obrazy i figury starego testamentu. Ponieważ schronienia dla suflera nigdzie zauważyć nie można a orkiestra, w zagłębieniu schowana, również jest niewidzialną, zanika wrażenie, jakoby się było w teatrze pospolitym, a natomiast powstaje iluzya, jakoby przed nami wznosiła się przepyszna starożytna świątynia.

Cały aparat sceniczny funkcyonuje z zadziwiającą dokładnością: pyszny rezultat intenzywnej pracy i energicznych prób. Przedewszystkiem podziwiać należy zimną krew, przytomność umysłu i pewność siebie osób działających w scenach ludowych, w których przeszło 500 osób dorosłych i dzieci znajduje się równocześnie na scenie. Wrodzony instynkt i zmysł estetyczny, wydoskonalony w wysokim stopniu w warsztacie snycerskim lub szkole przemysłowej, ułatwiają znacznie kombinacye sceniczne.

Gmina Oberammergau wielką kładzie wagę na świetną dekoracyę i bogate kostyumy. Gust i przepych, który się tutaj spotyka, może zadowolić i najwybredniejsze wymagania.

Aczkolwiek zarząd przy naradach wstępnych przypomina zasadę oszczędności i podkreśla potrzebę ekonomicznej gospodarki, chętnie wydaje dość znaczne nawet sumy na upiększenie dekoracyi. W r. 1890 ofiarował komitet 20,000 marek na skompletowanie istniejących już rekwizytów; gorącem bowiem jest pragnieniem całej gminy, żeby największa okazałość i przepych prawdziwie królewski towarzyszyły świętej akcyi, mającej olśnić obcokrajową publiczność. Chodzi o sławę i o chwałę Oberammergau; chodzi także o zyski materyalne, płynące z przedstawień, które w znacznej części stanowią podstawę dla dobrobytu Oberammergau. W r. 1900 wpłynęło do kasy teatralnej przeszło 800,000 mrk. Jedną trzecią czystego zysku przeznacza się na mocy rozporządzenia rządowego na wyresturowanie lub wybudowanie publicznych instytucyj w Oberammergau: na kościół farny, szpital, lazaret, szkoły przemysłowe, kanalizacye itp.

Kilka miesięcy przed rozpoczęciem widowisk tworzy się komitet składający się z 19 osób, między któremi znajduje się także miejscowy proboszcz. Komitet zastanawia się na jednem z pierwszych posiedzeń nad pytaniem może najważniejszem, kogo zaszczycić rolami najgłówniejszemi: czy mają one pozostać w rękach dotychczasowych „aktorów“ czyli też ma nastąpić zmiana. Z bijącem sercem każdy z uczestników oczekuje rezultatu. Wybitne uzdolnienie i życie pod każdym względem nienaganne fundamentalnemi są warunkami przy ubieganiu się o role pierwszorzędne. Czystością obyczajów odznaczać się muszą jednostki, pragnące scharakteryzować osoby, które w najbliższym stoją stosunku do dzieła odkupienia.

Dla uniknięcia późniejszych nieporozumień, nieprzyjemnych zajść i zatargów każdy z aktorów musi się piśmiennie zobowiązać, że przyjmuje przeznaczoną przez komitet rolę, że dokładać będzie wszelkich starań, aby sumiennie się przygotowywać, regularnie na próby chodzić i wedle możności przedstawienie uświetnić. Pijaństwo podczas prób karze komitet wykluczeniem z grona działających; każdy czyn, zasługujący na naganę, pociąga za sobą dotkliwą karę pieniężną. Sprężysty porządek i energiczna dyscyplina mogą jedynie utrzymać w ładzie i w karbach personał liczący przeszło pół tysiąca osób.

Honoraryum dla współdziałających w przedstawieniach pasyjnych wynosiło w roku 1890:

Chrystus 2,000 marek;
6 osób po 1,300 marek;
41 osób po 900 marek;
9 osób po 800 marek;
36 osób po 700 marek;
41 osób po 600 marek;
138 osób po 500 marek;
36 osób po 400 marek;
92 osoby po 300 marek;
51 osób po 200 marek;
27 osób po 150 marek;
78 dzieci (od 13—16 lat) po 80 mrk.
191 dzieci (od 6—13 lat) po 40 mrk.

KONIEC.

Wiec w Ostrawie Polskiej.



Fot. amat. St. Warcholik.
Tłumy ludu zaległy olbrzymi plac na wiec przeznaczony.



Fot. amat. St. Warcholik.
Wiecownicy wśród frenetycznych oklasków uchwalają rezolucye.

Jak wiadomo, ludność polska na Śląsku austryackim traktowana jest bardzo po macoszemu przez władze krajowe i centralne. Wszelkie słuszne żądania i petycye ludności polskiej do władz pozostają latami całemi bez odpowiedzi, lub są odmownie załatwiane, a na wnoszących je spadają często szykany i kary. Wobec tych faktów i krzywd zwołano na zaprzeszłą niedzielę wielki wiec rodzicielski do Ostrawy Polskiej.

Wiec odbył się po południu w ogrodzie hotelu p. Tomsy. Na wiec przybyli posłowie z Koła polskiego: pp. dr. Tomaszewski, dr. Buzek i Wiącek, oraz dr. Michejda, nadto poseł Daszyński i Kunicki. Towarzystwo Szkoły ludowej reprezentował p. Natanson z Krakowa, z ramienia „Macierzy“ obecnymi byli p. prezes Filasiewicz i sekretarz p. Marcinek; Koło Pań w Krakowie reprezentowała p. Siedlecka, Polskie Tow. pedagogiczne w Cieszynie p. Świeżewski, Straż polską w Krakowie p. Michał Magiera, prof. z Krakowa. Byli nadto reprezentanci prasy polskiej, „Dziennika Cieszyńskiego,“ „Słowa Polskiego“, „Czasu“, „Głosu Narodu“ i „Nowej Reformy“. Na wiec przybyło około 8000 ludu.

Tłumy te ludu zaległy olbrzymi plac na wiec przeznaczony zaraz z południa. Przybywały od Michałkowic, Muglinowa, Kończyc, Radwanic, Dziećmorowic i Rychwałdu.

Wiec zagaił górnik J. Papuga z Radwanic. Z grona mówców przemawiało także kilku robotników, którzy oświadczyli się stanowczo za kontynuowaniem walki o szkoły polskie aż do zwycięstwa.

Po przemówieniu reprezentanta T. S. L., Macierzy szkolnej i Straży polskiej, którzy przyrzekali zawsze pomoc materyalną w miarę sił, poddano pod głosowanie rezolucye w sprawie rozszerzenia szkoły polskiej w Michałkowicach, w sprawie zniesienia utrakwizacyi, upaństwowienia gimnazyum realnego w Orłowie, otwarcia internatu przy seminaryum polskiem w Cieszynie.

Nadto uchwalono cały szereg rezolucyj w sprawie pomnożenia sił urzędniczych polskich w urzędach i na kolejach, oraz rezolucyę dr. Tomickiego, wzywającą Koło polskie, aby w razie nie powiększenia sił urzędniczych polskich, poczyniło starania o odłączenie sądownictwa cieszyńskiego od Berna a przyłączenie do Krakowa.

Wśród frenetycznych okrzyków uchwalono wszystkie powyższe rezolucye — a następnie udano się pochodem do Michałkowic.

Wiec wykazał wysokie uświadomienie i poczucie solidarności ludu polskiego w Zagłębiu i dowiódł, że te materyalne wykłady, jakie społeczeństwo łoży na Śląsk, nie są daremne.

Głosy od przyjaciół.

Pierwsza rocznica otwarcia Czytelni i Szkółki Polskiej w Londynie.

Londyn, 22. IV. 1910.

Pierwsza rocznica otwarcia Czytelni i Szkółki Polskiej po przeniesieniu tejże do nowego obszerniejszego lokalu numer 17. Old Ford Road Bethnal Green zgromadziła liczne grono Rodaków w przeszłą niedzielę w Salce Czytelni, za szczupłą wprawdzie dla tylu widzów. Dzieci licznie zebrane i młodzież szkólna po podwieczorku, odegrały znane już dobrze w kraju „Betleem Polskie.“ Lucyana Rydla (w skróceniu) lecz bez zmiany tekstu prócz dodania roli dla naszej królowej Jadwigi, którą jej imienniczka, panna Jadzia Ranek z dokładnością oddała. Rolę długą i trudną Heroda wybornie oddał młodzieniec p. Bolesław Iwaszkiewicz z przejęciem się i zapałem. Prześliczną rolę Matki Boskiej odegrała z wielkiem uczuciem i tkliwością panna Zofia Zabelska. Solo Bartosz (Janusz) i chóry wybornie odśpiewały dzieci jako i Krakowiaki przy akompaniamencie fortepianu.

Twardowski, Żydek, Dziadek rozśmieszyli widzów.

Kostyumy, choć nie kosztowne, ale odpowiednie do ról młodocianych artystów. A i matki i dzieci szkólne katowane za polski katechizm występowały na scenie. Zabawa odbyła się pod dozorem pani Pace, Dr. Sobkowski przemawiał na wstępie, a pan Strumiłło przed zaczęciem przedstawienia tłomaczył znaczenie polityczne „Betleem Polskiego.“

Przedstawienie wypadło dobrze jak na nasze tutajsze stosunki i wywołało liczne oklaski.

Salka była nadmiar przepełniona, rodzice opuszczali ją uradowani z popisów swych dzieci na scenie.

Nasze rany — łzy gorące
I odwiecznych krzywd tysiące,
Które złożym na ołtarzu
W tym Ojczyzny relikwiarzu.

W. Benzelstjerna-Engeström.

* * *

Wiele narzekań naszych na nieszczęście polega na tem, że utożsamiamy pojęcia szczęścia z pojęciem egoistycznej przyjemności.

M. Rodziewicz.

Adam Piotrowski.

Powstanie i rozwój polsk. związków zawod. pod zaborem pruskim.

(Ciąg dalszy).

Przedstawiwszy po krótce organizacye robotnicze różnych kierunków i dążeń, poświęcimy jeszcze słów kilka ważnej organizacyi chociaż nie robotniczej, *organizacyi pracodawców*.

Do końca osiemdziesięciolecia wieku dziewiętnastego nikt o związkach pracodawców nie wiedział, a nawet nie marzył. Dopiero wzrost organizacyj robotniczych pchnął przedsiębiorców kapitalistów do łączenia się w związki, w celu obrony swoich interesów wobec „niesłusznych“ żądań stanu robotniczego. I tak powstał w roku 1889 związek pracodawców w zawodzie rękawiczniczym. W roku 1890 w zawodzie metalurgicznym i tak jeden związek powstawał za drugim. W roku 1899 powstaje związek w zawodzie budowlanym, 1902 roku w zawodzie krawieckim itd. Kiedy w roku 1903—04 wybuchł wielki strejk tkaczy w *Crimitschau*, kiedy strejk ten przeciągał się przy pomocy udzielanych strejkującym funduszy przez inne związki, poczęły się także związki pracodawców poszczególnych zawodów łączyć w związki związków. Dzisiaj istnieją w Niemczech dwie wielkie organizacye pracodawców, jedna w przemyśle wielkim, druga w przemyśle drobnym. Pierwsza nosi nazwę: *„Hauptstelle deutscher Arbeitgeber“* (Główne miejsce niemieckich pracodawców, druga zaś *„Verein deutscher Arbeitgeber“* (Stowarzyszenie niemieckich pracodawców). Dwie wymienione organizacye zwalczają się, jest to jednakże walka natury konkurencyjnej. Przeciw związkom robotniczym występują dość solidarnie, chociaż brak tam jednolitości, rygoru i jakiejś pewnej, określonej taktyki. Główne punkty wytyczne są: ochrona chętnych do pracy, wykazy pracy, przeprowadzanie klauzuli strejkowej, obrona prawna pracodawców itd. Gdyby związki te wzięły sobie za cel, pracowanie z związkami robotniczemi nad ukształtowaniem stosunków roboczych, jak się to po części w zawodzie drukarskim już dzieje, chociaż nawiasem powiedziawszy i tam jeszcze nie wszystko tak jest jak być powinno, natenczas mogła by taka praca dla obu stron błogie wydać wyniki. Przez obustronne zawieranie umów, możnaby na dłuższy czas spokój w zawodzie zagwarantować, słowem zapanowałaby większa harmonia pomiędzy obu stronami. Ale jeżeli się np. popiera, jak to uczynili pracodawcy należący do centrali „Głównego miejsca niem. pracodawców“, takie drakońskie zachcianki, jak uchwalenie prawa karania domem karnym tych, którzy kogoś do strejku namawiają. (Zuchthausvorlage z r. 1899, co parlament jednak odrzucił) albo nie chcąc pod żadnym warunkiem organizacyom robotniczym przyznać prawa zastępowania robotników przy umowach taryfowych jak to dzisiaj jeszcze niektóre związki pracodawców czynią, natenczas o zgodnej pracy mowy być ine może i dużo jeszcze wody upłynie, zanim stosunki takie, jakby sobie tego życzyć można, pomiędzy związkami pracodawców a pracobiorców zajmują. W pierwszym z wyżej wymienionych związków są zorganizowani przeważnie metalowcy i tkacze. Według „Rocznika statystycznego dla Rzeszy niemieckiej“ z roku 1909, składa się organizacya ta z 19 związków rzeszy (Reichsverbaende) z 14 krajowych (Landesvereine) i 13 grup miejscowych. (Ortsvereine) razem 6144 członków. Drugi związek, t. j. „Stowarzyszenie niem. pracodawców“ składa się z 9 związków rzeszy, 13 krajowych i 23 grup miejscowych, razem 32.500 członków. Obie organizacye posiadają razem według wymienionego sprawozdania 38.644 członków, u których jest zatrudnionych 2,438.142 robotników. Oprócz tego istnieją związki osobne po za temi organizacyami.

Każdego pracodawcę zmusza się w wielu przypadkach do przystąpienia. Jedną z g‘ównych broni, jaką się przeciwko robotnikom walczy, są znane czarne listy. Są to tajne okólniki, spisy tych robotników, którym się odmawia pracy z powodu nieraz drobnych przekroczeń. W wielu przypadkach odgrywają telefony rolę tę dla robotnika tak bardzo szkodliwą, a ze strony pracodawców niesprawiedliwą i nierzetelną. Robotnik, którego jeden z pracodawców umieścił na czarnej liście, jest wystawiony wraz z rodziną na głód i nędzę. Gdziekolwiek bowiem się zwróci i o pracę zapuka, z niczem zostanie oddalony. I bywały wypadki naprzykład w górnictwie, że pół roku kazano robotnikowi chodzić bez pracy i to ściśle od daty, przypuśćmy od 25 stycznia do 25 kwietnia, maja lub lipca. Taki robotnik jest wtenczas zniewolony opuścić tę okolicę, a udać się do pracy innej. Sprawa list czarnych jest publiczną tajemnicą. Wszyscy o tem wiedzą, a jednak kapitaliści się tego wypierają. I rząd wie, a jednak czy nie chce nic uczynić, czy udaje też, że jest bezsilnym.

Dalej służy także do zwalczania żądań robotników miejscowych sprowadzanie chętnych do pracy czyli łamistrejków. Przy ostatniej sprawie zachodzą nieraz wypadki tragikomiczne. W jednem z miast Księstwa naprzykład, strejkowali murarze. Pracodawcy złączyli się w organizacyę miejscową. Naturalnie pierwszem zadaniem było: postaranie się o łamistrejków. Zlecono tę sprawę jednemu, który też po dłuższych staraniach sprowadził gromadkę robotników zagranicznych. Lecz zamiast się z innymi ludźmi podzielić, zatrzymał wszystkich dla siebie. Lecz cóż się dzieje? Robotnicy przekonawszy się, że stosunki są jednak mizerne, że z tego powodu strejku się chwycono, porzucili pracę i poszli zkąd przyśli, zostawiwszy swemu pracodawcy oprócz wielkich kosztów, sporą sumkę długu u piekarza i rzeźnika, za co ów pracodawca także ręczył. Mówiono nawet także dość głośno o tem, że przy odchodzeniu pracodawcę poturbowano. Nie jest to bynajmniej wypadek odosobniony ,można by ich więcej wyliczyć. Lecz nie tu miejsce do tego. A jeżeli ten jeden obrazek pozwoliłem sobie skreślić, to dla tego, ażeby wykazać, do czego prowadzi zbytni upór. Celem dostarczania łamistrejków jest także dążenie do tworzenia związków żółtych, o czem wyżej była mowa. Zdarzają się jednak i wypadki takie, że ten lub ów pracodawca wyłamuje się z pod sondarności, pomimo, że do związku należy.

Natenczas wszakże i jego kara za ten czyn nie mija. Jeżeli gdzieś naprzykład strejk wybucha, obowiązują się wszyscy pracodawcy, jak się to często zdarza, podpisem rewersu lub jeszcze lepiej weksla okazowego na pewną sumę. Jeżeli potem któryś z majstrów godzi się z strejkującymi, traci tę sumę, na jaką weksel podpisał. Lecz nie dość na tem, takiemu zgodnemu pracodawcy zamyka się źródło dostawy materyałów, jak naprzykład cegły do budowli lub tym podobnie. Oczywiście, że takie postępowanie wykracza przeciwko paragrafowi 153 ustawy procederowej. Paragraf ten brzmi: „Kto drugich przez użycie cielesnego przymusu, przez groźby, uszczerbek na honorze lub zniesławienie do wzięcia udziału w takich zmowach lub do zastosowania się do takowych zmusza, lub kto drugim takiemi samemi środkami w tem przeszkadza lub przeszkodzić usiłuje, będzie karany więzieniem do 3 miesięcy o ile podług

ogólnego prawa karnego surowsza kara nie nastąpi.“

Pomimo to rzadko się jednak zdarza, ażeby który z pracodawców, czy to za czarne listy, czy to za przeszkadzanie w pracy przez utrudnianie dostawy materyałów itp. został ukarany. Podczas gdy do robotników stosuje się ten paragraf w całej ostrości.

Najlepiej wykażą to następujące cyfry: W roku 1904 było według statystyki kryminalnej 318 wyroków z powodu wykroczenia przeciw paragrafowi 153. W tej liczbie został tylko jeden — wyraźnie *jeden* pracodawca skazany. W roku 1905 na 395 na karę skazanych, było pracodawców tylko *dziesięciu*. Wynika więc, że ani strona robotnicza, ani strona pracodawców, słowem żadna organizacya bez pewnego nacisku obyć się nie może. Dlatego uważać należy za słuszne żądanie od dawna, ażeby paragraf ten zupełnie usunąć, a przekroczenia karać tylko o tyle, o ile wykraczają przeciw prawu karnemu.

Związki pracodawców mogłyby dojść do błogich skutków działalności, gdyby więcej pracowały nad zbliżeniem się do robotników, a nie nad oddalaniem się. Przez wspólne porozumienie, wyszłyby obie strony, tak pracodawcy jak i robotnicy korzystniej, ale potrzeba do tego dobrej woli. Niechaj pracodawcy pracują nad rozwojem organizacyj swoich, niechaj to jednak czynią nie dla tego, ażeby z pomocą swoich silnych związków zwalczać związki robotnice, lecz przeciwnie — niechaj przestaną w nich upatrywać swego nieprzejednanego wroga, lecz niech patrzą na nie, jak na równouprawnioną siłę, z którą na mocy umowy na długie lata zapewnić można spokojny rozwój stosunków na polu ekonomicznem. Oczywiście, że z drugiej strony i związki robotnicze rękę do tego przykładać muszą, ażeby dzieło prędzej przyszło do skutku, ażeby czasy, jakich sobie wszyscy życzymy, nie pozwoliły zbyt długo na siebie czekać. Toż jako początek można już uważać ugody zawierane w zawodzie drukarskim pomiędzy pracodawcami a pracobiorcami, a jeżeli tam zachodzą jeszcze niesnaski, to polega to tylko na niegruntownem jeszcze zrozumieniu rzeczy tak z jednej jak i z drugiej strony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wszędzie i zawsze prawda przemoże, zatem konieczność logiczna dopełni się; ale dopełnienie tej konieczności na całe wieki zwlec i zawiesić się może. *Karol Libelt.*

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

B. IX.

Na czem głównie zasadza się bogactwo Polski?

Polska należy do rzędu krajów przez przyrodę dość uprzywilejowanych, gdyż tak klimat naszej ojczyzny, jak i roślinność i świat zwierzęcy się na nim zasadzający, jak i bogactwo ziemi polskiej stanowią podkład, na którym kraj nasz wzmógł się za czasów niepodległości swej do wysokiej potęgi i wielkiego znaczenia w szeregu państw cywilizowanych. Pod względem geograficznym położona między stopniami 48 a 58 północnej szerokości, i 34 a 50 na wschód od Ferro długości, przypada Polska całkowicie w strefy umiarkowane, o łagodnej na ogół temperaturze, na granicy między zachodem (klimat morski) a wschodem (klimat kontynentalny). Mimo, że winorośl tylko w niektórych południowych okolicach dochodzi (Zaleszczyki i Okopy Św. Trójcy nad Dniestrem w Galicyi, w południowej części Podola), to jednak zboża wszelakiego rodzaju, główna podstawa żywności, jak pszenica, żyto, jęczmień, owies, kukurydza i okopowe, wszędzie znajdują w Polsce dość ciepła dla swojego całkowitego rozwoju. Wprawdzie hodowla kukurydzy ogranicza się u nas właściwie tylko na Podole (gdzie i tabaka nawet już się opłaca), a na północy Litwy pszenica nie wszędzie dochodzi, lecz na ogół izotermy (linie łączące na mapie klimatycznej miejscowości o równej temperaturze) roczne, biegnące u nas przeważnie z północ-zachodu na południe-wschód, nie wynoszą ponad 5 stopni różnicy. Miała więc Polska zawsze zboża poddostatkiem i jako „Śpichlerz Europy“ była nawet w możności dzielić się niem z zachodniemi krajami, więcej zaludnionemi.

Mając doskonałe drogi wodne (nadewszystko Wisłę, pozatem Niemem, Dźwinę, Dniestr i Dniepr) mogła Polska nietylko na Gdańsk i Rygę odstawiać zboże do Bałtyku, lecz także na Kijów, Oczaków i Akerman do morza Czarnego. I dziś jeszcze, mimo zmienionych stosunków politycznych i komunikacyjnych, tworzy Polska głównego dostawcę dla zboża w Europie, konkurując z produktem amerykańskim, nietylko dla zachodnich krajów europejskich, lecz i dla Rosyi, cierpiącej często na nieurodzaj. Jedna część Polski co prawda, pod politycznym względem najbardziej szczęśliwa, lecz pod ekonomicznym niewyrobiona, Galicya, zaledwie może mieszkańców swoich wyżywić, jak to profesor lwowski Bujak w dziele swem najnowszem p. t. Galicya statystycznie dowiódł, zmuszając część ludności do emigracyi, lecz dzieje się to głównie z powodu mało intenzywnego tamże gospodarowania. Tyle korzystną w dzisiejszych czasach uprawą buraków cukrowych zajmuje się przeważnie zabór rosyjski, wykazujący w Kongresówce około 50, na Podolu, Wołyniu zaś i Ukrainie prawie po 100 cukrowni, podczas gdy pod zaborem pruskim (wszystkie z wyjątkiem jednej, w Kruszwicy, w niemieckich rękach) jest ich wogóle niespełna pół setki, a w Galicyi dosłownie jedyna jedna w Przeworsku. Roślinność ma w Polsce na ogół już dla tego jak najlepsze warunki bytu, iż dziewięć dziesiątych przeszło części kraju stanowi jedna wielka nizina (Niż północny, Polesie, płyta podolska i Ukraina), nie cierpiąca w żadnej porze roku (w szczególności w maju) na zbytnią posuchę.

Była też Polska w zamierzchłych czasach historycznych jeszcze jedną wielką puszczą leśną, dziś coprawda w większej już części wziętą pod uprawę. Na pług czekają coprawda jeszcze ogromne obszary na Litwie i Białorusi, całe Polesie wraz z puszczą Białowieską stanie się kiedyś po odwodnieniu i wykarczowaniu dziewiczych lasów tamtejszych jednem olbrzymiem polem urodzajnem, a nawet w Kongresówce (nad Narwią), w zaborze Pruskim (puszcza Tucholska, Pszczyńska) i Galicyi (puszcza Niepołomicka) jest jeszcze miejsce na nową rolę, lecz dawniejsze stepy bezleśnie Podola dawno już zamieniły się z mało u nas korzystnych łąk pastewnych na żyzną glebę orną. Wraz z tępieniem lasów zanikł w Polsce i zwierz dziki: coprawda w ostrych zimach pojawia się jeszcze niekiedy na Litwie i Rusi wilk, lecz niedźwiedzie (z wyjątkiem wschodnich Karpat) wyginęły u nas doszczętnie, a dziki tylko w niektórych okolicach Kongresówki, wschodniej Galicyi i Litwy się zachowały, wielkie wyrządzając ziemianom naszym w polach szkody. Za to w zwierzynę obfituje Polska poddostatkiem, zająca, sarnę, nawet tyle tępionego lisa i jelenia wszędzie się u nas napotyka, ostatniego najwięcej w Galicyi południowej (Podkarpacie). Obfitość wielka jest u nas w ptactwie,

II. Polska za Kazimierza Wielkiego.



Granice państwa, jak widzimy na mapie, już są szczuplejsze. Śląsk odpadł do Czechów, Pomorze szczecińskie dostało się w zawisłość od Niemiec. Gdańsk zabrali Łokietkowi, ojcu Kazimierza W., zdradzieccy Krzyżacy. Tylko na wschodzie granice państwa rozszerzył Kazimierz Wielki, zyskawszy dla polski Ruś halicką (dziś wsch. Galicya) w r. 1340 Władysław Łokietek zdołał wreszcie zjednoczyć podzielone na części państwa polskie, a następca, Kazimierz W. zajął się przedewszystkiem zagospodarowaniem i uporządkowaniem skołatanego długiemi zawieruchami Królestwa. Pogodził się więc z sąsiadami, oddał im ziemie, których odzyskanie naraziłoby wyczerpany kraj na długie, niepewne wojny i oddał się cały pracy dla dobra poddanych. Niedługo też cała Polska zasłynęła bogactwami, cały kraj pokrył się warownymi grodami, a imię Kazimierza jako władcy zasłynęło wśród obcych. Kazimierz Wielki rzucił podwaliny pod przyszłą wielkość Polski. Już w 16 lat po jego śmierci przychodzi w r. 1386 do skutku Unia z Litwą przez małżeństwo Jadwigi z księciem Litewskim Jagiełłą a Polska zyskuje przez to ziemie litewsko-ruskie, rozszerzając granice swoje po Dniepr o Dźwinę i brzegi morza czarnego. Na razie Polska i Litwa były połączone tylko osobą wspólnego monarchy czyli była to unia personalna. Za panowania jednak potomków Jagiełły, którzy rządzili prawie 200 lat, bo do r. 1572, oba kraje zlały się w jedno państwo. Ostateczne połączenie dokonane zostało w r. 1569 za panowania ostatniego z Jagiellonów, Zygmunta Augusta na Sejmie w Lublinie (t. zw. Unia lubelska). Odtąd państwo polskie miało jednego monarchę, jeden Sejm, jednak tak Polska zwana inaczej Koroną, jak i Litwa miały każda osobny rząd, skarb i wojsko.

---

król w państwie tym jednak, orzeł, ustąpił już miejsca swego zupełnie mniej drapieżnym mieszkańcom polskiego przestworza. Ryb w wodach naszych, tak bogatych, napotyka się wszelakiego rodzaju wiele, lecz hodowla cennego tego artykułu znajduje się dotąd jeszcze w początkach rozwoju i w dość wyjątkowych tylko jednostkach znajduje należyte zamiłowanie. Główna dotąd podstawa dobrobytu polskiego, ziemia nasza, ten warsztat polskiej pracy jako narodu niegdyś wyłącznie i dziś jeszcze przeważnie rolniczego, tworzy znaczną różnorodność gleb. Północna część Polski, Niż, przeważnie lodowcowego pochodzenia, jest na ogół średnio-urodzajną, z częstemi piaskami, rodzącemi żyto i kartofle, i nadającemi się jeszcze dziś więcej na zalesienie (niektóre okolice Litwy). Poza wyjątkową glebą Kujawską (czarnoziem, zawdzięczający swoją żyzność bogatej zawartości próchnicy t. j. szczątków organicznych, także wapna i korzystnym właściwościom fizykalnym gleby), znamy w Niżu polskim cały jeszcze szereg innych rodzajów gleb (rędziny, powstałe z wapienia, w Królestwie, borowiny, niektóre bielicowate) nie ustępujące najlepszym zagranicznym. Najlepsze jednak gleby napotykamy w południowych stronach ziem polskich, nie objętych wpływem dawnych lodowców, a więc po za graniczną linią Kraków — Lwów — Żytomierz — Kijów. Są to słynne żółte glinki, bogate w wapno, t. zw. loessy czyli żółtoziemy, ciągnące się długim pasem od Krakowa na Przemyśl, Lwów, Brody, Żytomierz i Berdyczów do Kijowa, dotykając na południu podgórza karpackiego, oraz słynnego czarnoziemu. Wedle dość ogólnie przyjętego zdania geologów są loessy wytworem eolicznym (t. j. powstały za przyczyną wiatrów), choć przypuszczać można, że jest to czysty wytwór przemiany wapienia od powierzchni pod wpływem atmosferylij (opadów, zmian temperatury i wpływu wegetacyi). Oprócz dotychczas uwzględnionych bogactw naturalnych Polski dochodzą jeszcze skarby, kryjące się w głębi ziemi, a więc przedewszystkiem węgiel kamienny, kruszce, sól kamienna, wapień, nafta, wosk ziemny, sole nawozowe i fosforyty. Obfitują w te kopaliny szczególnie południowe części naszego kraju i dały podwalinę poważnemu przemysłowi na ziemiach polskich, w obcych niestety przeważnie znajdującemu się rękach. Liczne jednak zastępy pracowników znajdują w zakładach przemysłowych w kraju chleb i są ocalone od emigracyi, a pilność mieszkańca Polski, który wedle liczby

prawie wyłącznie należy do klasy twórczej, pracującej, jest tak znana i twórczość jego tak intenzywna, że i ten czynnik jako jak najwięcej dodatni na korzyść ogólnego dobrobytu kraju zaliczyć należy. Moglibyśmy więc do najszczęśliwszych zaliczać się narodów na świecie, gdyby nie krwawa ironia naszej historyi — sąsiedzi nasi widzieli w kraju naszym zbyt tłusty kąsek, aby się o posiadanie jego nie pokwapić — za byle jaką cenę!

Kobieta a polityka.

Kobiety niechaj nie mieszają się do polityki, niechaj dbają raczej o ognisko domowe, niech patrzą garnków, takim był nastrój przeciwników feminizmu i dążności do politycznego równouprawnienia kobiet. Tak też i dzisiaj niejeden gotów pomyśleć, chociaż zmieniły się czasy, chociaż zmniejszyły się i nikną dawne uprzedzenia, a dążności polityczne kobiet coraz bardziej prą naprzód i coraz to nowe odnoszą zwycięstwa. Aby więc uprzedzenia usuwać, ogół zaś kobiet informować, pobudzać i krzepić nadzieją, warto zastanowić się nad tem, dla czego kobiety mają prawo i obowiązek troszczyć się o wykształcenie polityczne, starać się i walczyć o równouprawnienie polityczne i brać udział w polityce.

Dla czego?

Miliony kobiet, oddających się pracy zawodowej, dźwigają zarazem brzemię dolegliwości i cierpień zawodowych, pod któremi niejedne upadają. Starają się więc o polepszenie swej doli zawodowej, ale na drodze prywatnej inicyatywy i samopomocy mogą tylko część swoich życzeń ziścić, tylko część swoich potrzeb zaspokoić, nie zdołają zaś dojść zupełnie do celu. Do tego potrzeba pomocy czy też inicyatywy publicznej, komunalnej i państwowej. Jasny przykład podaje nam przemysł domowy. Któż śmiałby wierzyć, że kobiety same mogłyby usunąć nędzę przemysłu domowego, że o własnych siłach mogłyby rozwiązać wszystkie problematy tej tragedyi zawodowej.

Rząd angielski zaprowadza instytucyę urzędów płacy i w tej formie występuje w obronie uciśnionych; może i rząd niemiecki zdecyduje się na taki krok, chociaż się tymczasem na to nie zanosi. Pomoc państwowa okazuje się tutaj niezbędnym warunkiem odpowiedniego uregulowania stosunków. I tak w tylu innych dziedzinach kobiecego życia zawodowego.

Aby więc módz skutecznie apelować do pomocy państwowej, potrzeba zatem kobietom zawodowym pewnego wykształcenia politycznego, aby wiedziały, do kogo się odnosić, jak swoje życzenia przedstawiać, jak w interesie urzeczywistnienia zakreślać im granice, jak je uzasadniać; potrzeba dalej kobietom zawodowym praw politycznych, aby mogły obok przedstawicieli świata męskiego także same decydować o własnym losie, aby mogły same wpłynąć na treść i przyspieszyć wydawanie ustaw ich życiu zawodowemu przychylnych. Wracajmy do przykładu przemysłu domowego! Czyż pracownice w tej gałęzi wytwórczej zajęte potrzebowałyby tak długo wyczekiwać na pomoc państwową, gdyby w parlamencie zasiadała znaczna ilość posłów płci żeńskiej, gdyby tam w imię godności ludzkiej, w imię najpospolitszych praw człowieka przemówiły kobiety?

Przedstawicielki pracy zawodowej potrzebują więc wykształcenia i praw politycznych w interesie swojego życia zawodowego.

Wszelako nie wyłącznie w interesie własnego życia zawodowego, gdyż z tem życiem wiąże się tylekrotnie los innych bliskich osób, przedewszystkiem zaś los potomstwa. Warunki życia zawodowego tylekrotnie już w łonie matczynem oddziałują szkodliwie, tylekrotnie powodują chorobliwość i śmiertelność dzieci, ujmują im soki żywotne, zaciemniają młodość i niszczą potomstwo.

Ten moment potęguje pretensye kobiet zawodowych w dziedzinie politycznej, ale zarazem wskazuje też na inny ogólniejszy objaw zasadniczy, przemawiający za wykształceniem i równouprawnieniem politycznem kobiety. Miliony pracownic zawodowych żyją w stanie małżeńskim, ale jeszcze więcej milionów kobiet bez zawodu, które są matkami, żonami, gospodyniami domowemi.

Kobiety jako gospodynie, jako żony i matki reprezentują najważniejsze interesy społeczne, bowiem zdrowie narodu, wychowanie narodu, dobrobyt, przyszłość narodu.

Społeczeństwu musi zależeć na tem, aby miliony dzieci miały zdrowych i silnych rodziców, aby się rodziły i chowały w obszernych, jasnych i zdrowych mieszkaniach, aby tanim kosztem miały dobre i obfite pożywienie, aby rozpoczynały drogę życia w jak najkorzystniejszych warunkach: społeczeństwo musi dbać o to, aby rodzice mieli dość czasu, dość wiadomości i zrozumienia do pielęgnacyi i chowania dzieci na dzielnych obywateli, musi dbać o to, aby kobiety wypełniły jak najlepiej swój naturalny i najwznioślejszy zawód macierzyński.

Opieka nad dziećmi w najszerszem tego słowa znaczeniu przedstawia *najważniejszą* część polityki wewnętrznej, gdyż kładzie podwaliny pod przyszłość narodu i państwa.

A z tą najważniejszą częścią polityki wewnętrznej łączą się naturalnie mniej lub więcej wszystkie inne jej działy; nie można więc rozwiązywać problematów najważniejszej części bez względu na inne ogniwa polityki wewnętrznej; należy raczej baczyć na całokształt potrzeb i środków polityki wewnętrznej, dalej należy brać w rachubę zadania polityki zewnętrznej, która rozwija się w ciągłej styczności z rozmachem wewnętrznej pracy politycznej; w takich szerokich ogólno-politycznych ramach więc domaga się naszej uwagi, naszej działalności, naszych poświęceń, cielesne i umysłowe chowanie naszego pokolenia.

Tej najważniejszej części polityki wewnętrznej reprezentantkami do głosu na arenie publicznej odpowiednio niedopuszczonemi są kobiety-gospodynie, kobiety-żony, kobiety-matki.

Mają one wprawdzie rodzić i chować dzieci, ale nie mają rozstrzygać o formach i środkach chowania w ciałach prawodawczych, mają one wprawdzie żyć w węzłach małżeńskich, ale nie mają bezpośrednio wpływać na stosunki prawa małżeńskiego w najwyższych instancyach politycznych.

Czyż taki stan nie sprzeciwia się logice, czyż taki stan odpowiada sprawiedliwości?

Nie tylko jednakże jako pracownice zawodowe, nie tylko jako gospodynie, żony i matki mają kobiety prawo do współudziału w polityce, ale także jako przedstawicielki odrębnej płci.

Odrębny cielesny i duchowy ustrój kobiet uniemożliwia mężczyznom dokładne poznanie i należyte spełnienie wszystkich potrzeb żeńskich; osobne zadania kobiece mogą tylko kobiety rozwiązać; tylko one zdołają całkiem pojąć i całkiem wyrazić osobne żeńskie życzenia, przekonania, interesy, które bez nich nie znajdą odpowiedniego wyrazu w życiu państwowem; potrzeba więc aktywnego udziału kobiet w prawodawstwie i w administracyi, aby się stały orędowniczkami wszystkich żeńskich potrzeb, i aby państwo na takiej podstawie mogło znaleźć odpowiednią przekątnią między rozbieżnemi dąże-

niami i pragnieniami obydwóch płci.

Toż to właśnie jest jedną z cech nowoczesnej polityki, że dopuszczamy do głosu przedstawicieli różnych interesów i szukamy potem środkowej linii w praktyce politycznej. Dlaczegóżby miano odmawiać kobietom tego, co w sferze świata męskiego dają n. p. producentom i konsumentom, reprezentantom rolnictwa z jednej, a przemysłu z drugiej strony i t. d.?

Żleby pewno na tem społeczeństwo ludzkie nie wyszło; przypuszczać wypada, że niejedne kwestye, które są plagą dzisiejszej ludzkości, jak n. p. alkoholizm, seksualizm, militaryzm i t. d., inny miałyby wygląd, gdyby obok mózgów męskich zaznaczyły się w melodyi politycznej serca kobiece. Szkodliwego zaś wpływu zbytniej uczuciowości żeńskiej nie wypadałoby się może obawiać, skoroby tylko kobiety zyskały odpowiednie wykształcenie polityczne, któreby ich samo wiodło w kierunku spokojnej rozwagi i hamowało nadmierne wybuchy gorącego uczucia.

Oto kilka uwag na temat stosunku kobiety do polityki.

W społeczeństwie naszem możnaby potrzebę politycznego wykształcenia i równouprawnienia kobiet uzasadniać także względami na nasze szczególne położenie narodowe. Nasza przyszłość narodowa tem pewniejszą będzie, na im szerszych oprze się podstawach. Trzeba więc powołać do życia politycznego jak najszersze warstwy naszego narodu. Ale czyż wtedy nie wypada zastosować to zdanie także do świata kobiecego? Ileż to razy nasi mężczyźni nie korzystają z praw jeszcze nam przysługujących i nie spełniają obowiązków narodowych. Zaspałego mężczyznę możezbudziłaby czujna i politycznie wyrobiona kobieta polska; a wtedy uniknęlibyśmy też niejednych strat narodowych i większą mielibyśmy rękojmię zdrowej przyszłości.

Poruszając potrzebę politycznego wykształcenia i równouprawnienia kobiet nie solidaryzujemy się bynajmniej z hałaśliwemi bojowniczkami ruchu wolnościowego; do takich godność kobiety poniżających form walki nie myślimy nikogo zachęcać; zwracamy tylko uwagę na rzecz, która obchodzi szersze koła i posiada doniosłość także dla naszego życia społecznego.

S. S.

„Łzy-Perły.“

Marja Paruszewska: Łzy — Perły, poezye. Poznań 1910. Czcionkami Drukarni Nakładowej „Praca“ S. z o. p. Stron 72. Cena 2 mrk.

Opuścił w tej chwili prasę tom poezyi znanej naszej wielkopolskiej poetki pani Maryi Paruszewskiej. Jestto zbiorek nader subtelnych wierszy, których część już uprzednio publikowana



Pani Marja Paruszewska.

była w pismach poznańskich. Sympatyczne przyjęcie, jakie te dorywcze publikacye u czytelników doznały, spowodowały szanowną autorkę do zebrania tych luźnych, po rozmaitych pismach porozrzucanych kartek i wydania ich w książce. Oczywiście dołączono także szereg wierszy dotąd niedrukowanych. Tak powstało dziełko, które niniejszem najgoręcej polecamy czytelnikom naszym. Z wykwintną poetyczną treścią książki idzie w zawody artystyczna jej szata. Dziełko wykonano w drukarni „Pracy“ nader starannie i tak ozdobnie jak rzadko kiedy książka polska wydawaną bywa. Będzie zatem prawdziwą ozdobą każdej biblioteki i spocząć może na stoliku każdego chociażby najwykwintniejszego salonu lub buduaru. Sądzimy przeto, że książka pani Paruszewskiej znajdzie u czytającej publiczności to przyjęcie, na jakie tak ze względu na swą piękną treść jak na wysoce artystyczne zewnętrzne wykonanie zasługuje.

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne.

Marya Rodziewiczówna: Byli i będą. — Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków — G. Gebethner i Sp. — *Taż: Jaskółczym szlakiem.* — Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków — G. Gebethner i Sp. — *Henryk Piątkowski: Mistrz Kłębek.* — Warszawa 1910. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków — G. Gebethner i Spółka. — *Stanisław Ostrowski: Z gwiazdą mocarza.* — Warszawa 1910. — Gebethner i Wolff. Kraków. — G. Gebethner i Sp.

Marya Rodziewiczówna, odczuwająca również żywo jak Eliza Orzeszkowa wszelkie społeczne i narodowe potrzeby, nie okazała się obojętną w pismach swoich na historyę ostatniego powstania. Dawniej już ogłosiła pod pseudonimem Zmogasa dwa utwory na tle tem osnute („Pożary i zgliszcza“, „Barcikowscy“). Wychodząca obecnie w drugiem wydaniu powieść *„Byli i będą“* (wydanie pierwsze 1908) zajmuje się w przeciwieństwie do książki Orzeszkowej, opisującej przygotowania do ruchu narodowego i jego początki, pierwsze lata po klęsce roku 1863-go. Straszne to i beznadziejne czasy! Współczujemy z losem tych bohaterów powieści, którzy jako pozostali po tym pogromie narażeni są na prześladowania, katorgi i wszelkie tortury duszy i ciała. A wiadomo, że zmora zemsty wiele jeszcze lat po powstaniu ciężyła na ludziach i kraju. Autorka z wrodzonym sobie temperamentem kreśli obrazy pełne boleści; barwny język i żywe dyalogi są jej wielce pomocne w osiągnięciu zamierzonego celu, zainteresowania czytelnika sprawą i jej bohaterami. A zimnym nie pozostanie nikt na wzruszające sceny z pamiętnych owych czasów, na niezwykłe wydarzenia: ukrywanie się przez dłuższy czas powstańców na zagładę skazanych w lasach i norach, deportacye całych zaścianków na Syberyę itd.

Do stron dodatnich powieści należy także ewolucya duchowa, jaką przechodzi Stefan Hrehorowicz, syn poległego w powstaniu patryoty. Wychowany błędnie przez matkę na kosmopolitę, wyrósł w zupełnej obojętności dla idei polskiej, budzi się jednakże sam do życia narodowego i wysoko

dzierży sztandar myśli polskiej na Litwie. Szkoda tylko, że i w tej powieści autorka popada w zwykły swój błąd powtarzania sytuacyj i przedstawiania typów przypominających dawniejsze jej utwory. Powraca też i tu do ulubionej swojej idei: odrodzenia przez ziemię i w tym przypadku podążamy oczywiście chętnie za znaną nam już jej myślą przewodnią: „Ziemi nie puść“ — powiada jedna z umierających ofiar powstania — „pazurami, zębami dzierż. Ziemia się nazywa: grunt, w niej wszelkie korzenie tkwią i trawy i drzewa i człowieka. Puścisz ziemię, będzie cię wiatr nosił po świecie, suchą łomakę. A uchowasz ziemię — to choćby cię sto razy od niej oderwali, to wrócisz i zakorzenisz się znowu.“

I *„Jaskółczym szlakiem“* tejże autorki wychodzi obecnie w drugiem wydaniu. Tak przynajmniej czytamy na tytułowej karcie książki. W rzeczywistości jest to już tej powieści wydanie *trzecie*, a to dla tego, że ten sam utwór ukazał się już w r. 1893-im (u Lewentala w Warszawie) pod tytułem *„Lew w sieci.“* — Rzecz dzieje się w Galicyi. Fabuła powieści dość zręczna; przed dwudziestu laty opuścili Jamontowie kraj i udali się do Algieru, gdzie im się przy skrzętnej pracy na własnej kolonii nieźle powodziło. Po dwudziestu latach wysyła Jamont syna swego Konstantego, chcąc jego zbyt gorący temperament poskromić za pomocą małżeństwa, pod opieką ciotki Felicyi do kraju. Oczywiście zmieniło się w tak długim przeciągu czasu dużo w ojczyźnie, dla tego też jeden zawód po drugim spotyka biedną ciotkę Felicyę pragnącą z jak najlepszej strony przedstawić siostrzeńcowi ziemię polską. Odbywając podróż powrotną do kraju „jaskółczym szlakiem“ napotyka przeważnie tylko groby dawnych przyjaciół i krewnych, smutne stosunki kulturalne, niedbałość w gospodarstwie, a ponadto zimne i obojętne serca u tych, na których przyjaźń i miłość specyalnie liczyła. W końcu wybiera sobie Konstanty Jamont towarzyszkę życia i wraca do Algieru, by podjąć wraz z żoną przerwane chwilowo prace. — Stosunki galicyjskie maluje Rodziewiczówna zbyt czarno, satyra jej jest też dziś już nieco przestarzała, gdyż w ostatniem dwudziestoleciu i w Galicyi dużo zmieniło się na lepsze: i tam kultura coraz szerszą toruje sobie drogę. Kilku typom nie można odmówić plastyki tak w dodatniej, jak i ujemnej charakterystyce. Powieść czyta się z przyjemnością, choć do najlepszych utworów autorki zaliczyć jej nie można, tak ze względu na kompozycyę artystyczną, jak i na język, który tu przedstawia się szczególnie niedbale. Szkoda, że autorka nie usunęła w tej powieści z okazyi jej ponownego wydania przynajmniej główniejszych usterek i chropowatości stylowych, które powstały z pewnością tylko z powodu nadmiernego pośpiechu w tworzeniu. — —

Poczesne miejsce w beletrystyce zajmie niechybnie *„Mistrz Kłębek“ Henryka Piątkowskiego.* „Mistrz Kłębek“ zasługuje na uwagę nietylko dla tego, że utwór ten traktujący o sztuce współczesnej napisał wybitny artysta-malarz, ale i dla tego, że powieść ta jest satyrą na rozmaite krańcowe prądy i kierunki w sztuce (rzeźbie, malarstwie, literaturze) a przytem satyrą bardzo aktualną, bo dotyczącą ostatniego dziesięciolecia. Oczywista rzecz, że Piątkowskiemu, należącemu oddawna do kolonii artystycznej, a więc obserwującemu przez szereg lat wszystkie jasne i ciemne objawy twórców i ich dzieł, nie mogło rzucenie na papier tego wszystkiego, na co patrzał własnemi oczyma, sprawiać wielkiej trudności, ale przyznać trzeba, zapatrując się na jego utwór z czysto artystycznej strony, że wywiązał sie z zadania swego, pomijając pewne naleciałości starej szkoły, zwłaszcza w pierwszej części powieści (np. tłómaczenie się ze swoich zamiarów przed czytelnikiem itp.) bardzo zręcznie. Inna rzecz, czy autor nie przeciągnął zbytnio struny satyrycznej, czy nie przedstawił zbyt jednostronnie niemiłego mu dekadentyzmu; o ile atoli ostra jego satyra wyszydza śmieszne a nawet zgubne strony owego kierunku (dziś już należącego do przeszłości), jest ona oczywiście z góry uprawnioną. I to powiedzieć musimy, że miejscami razi tu zbyt karykaturalny rysunek, który też szkodzi całości o tyle, że osłabia wiarę w bezstronność autora. W każdym razie jest — jak wspomnieliśmy już — literackie obrobienie tego studyum psychologicznego o Franciszku Kłębku, samouku-geniuszu, bez zarzutu. Cała historya jego karyery artystycznej: sztuczny rozwój i błyskawiczna sława, stawiająca go jako „mistrza“ na piedestale, jego rychły upadek z tych wyżyn aż na sam dół najstraszniejszego dla artysty poniżenia: zapomnienia przez współżyjących, jest nietylko wysoce interesująca, ale i niezmiernie pouczająca jako dokument życiowy dotyczący artysty współczesnego. Także liczne, nader ciekawe spostrzeżenia autora, które wtajemniczają czytelnika w intrygi i machinacye, pasujące zdolności średniej miary lub nawet miernoty, na wielkości w krainie sztuki, decydują o wartości „Mistrza Kłębka“. ——

Na brak tak zwanych powieści napoleońskich nie może się nasza literatura uskarżać. Dostarczył ich głównie Wacław Gąsiorowski, atoli nie wszystkie utwory tego pisarza zasługują bez zastrzeżeń na sąd pochlebny, mało w nich bowiem zazwyczaj pierwiastku artystycznego. Jedyny utwór z tej kategoryi, który stoi wysoko na niedostępnej dla innych pisarzy wyżynie — to „Popioły“ Żeromskiego. Powieść ta jest niejako wzorem, jak powinno się tworzyć obrazy na tle owej wielkiej epoki. Niestety! Żeromski pozostał dotąd z tą potężną epopeją napoleońską odosobnionym; wszystkie inne powieści przedstawiające czasy napoleońskie są tylko mniej lub więcej pomyślnemi próbami. Do tych ostatnich zaliczamy *„Z gwiazdą mocarza“ Stanisława Ostrowskiego.* Pisarz ten zwrócił się po pierwszych swych występach literackich („Przed burzą“, „Pas rycerski“) ku epoce napoleońskiej i zdaje się, że tu dopiero odkrył rodzajowi swojego talentu bardzo odpowiednie pole twórczości. Już powieść „Zarzewie“ dowiodła tego, choć wykazywała zarazem poważne braki. Gwiazda przeszłoroczna przyniosła naszej młodzieży piękną książkę Ostrowskiego zawierającą żywe opowiadania o pułku dwunastym piechoty Księstwa Warszawskiego p. t. „Z dziejów pułku.“

„Z gwiazdą mocarza“ nie dosięga pomimo niemałej zależności od „Popiołów“ Żeromskiego, (to samo uderzało już w „Zarzewiu“) ani w przybliżeniu swego pierwowzoru, powieść ta z czasów Księstwa Warszawskiego oddaje jednakże dość umiejętnie koloryt ówczesnej epoki, szkicuje barwnemi farbami usposobienie mieszkańców dwóch stolic Polski, uprzytomnia jeszcze raz nadzieje, jakie przywiązywano do imienia Napoleona. A ponieważ rzecz rozgrywa się w roku 1809-ym, tak chwalebnym dla oręża polskiego, więc panuje tu też mimo niepewnych czasów atmosfera pogodna, niemal radosna. Obietnice Napoleona uprawniały do optymizmu i wywoływały nastroje pełne otuchy i nadziei. Nie dziw, gdy prawie powszechnie ufano „gwiaździe mocarza“. Zapatrzeni w nią umieli bohaterzy nietylko walczyć w imię wolności, ale także — jak to stwierdza pomiędzy innemi i powieść Ostrowskiego — załatwiać swoje sprawy miłosne i doprowadzać je do pomyślnego zakończenia. — Powieści tej nie dostaje wewnętrznego planu, osnowa utworu trzyma się ściśle przebiegu wypadków dziejowych i nie zdobywa się na samodzielną koncentracyę artystyczną. Pomimo to powinna powieść ta (a także „Zarzewie“ i „Z dziejów pułku“) znaleźć licznych czytelników, chociażby dla tego, że odsłania przed nimi pamiętne karty naszej przeszłości w najprzystępniejszej formie. A choć znani z historyi ludzie (Dąbrowski, książę Józef Poniatowski, Fiszer, Sokolnicki itd.) tu występujący nie są malowani zbyt dosadnie, tak, iż daleko im do duchowo pogłębionych portretów historycznych, to jednak uprzytomnianie czytelnikowi tych postaci, o których wdzięczna pamięć nigdy zaginąć nie powinna, jest już wiele warte. — Dodać jeszcze musimy, że niektóre opisy (także opisy natury) udają się Ostrowskiemu doskonale; wogóle talent autora mężnieje z każdym nowym utworem, co jest dobrą zapowiedzią na przyszłość.

Tem właśnie święty głos ducha przemaga,
Że w nim jest czystość i waga...

J. Słowacki.

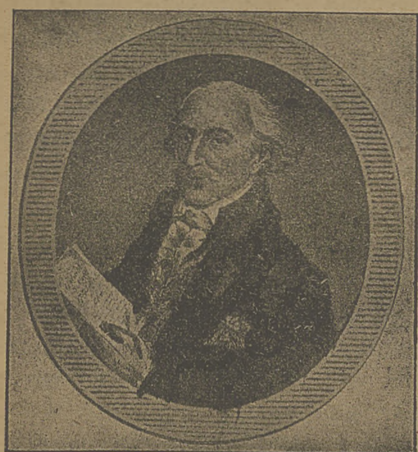
* * *

Nieszczęście nasze jest najdoskonalszą akademią, gdzie uczymy się mądrości i krzepimy się w uczuciu woli; jest ogniem czyściowym wypiekającym nasze błędy stare i przygotowującym nas do nieba, jest tedy naszem szczęściem... Nie zasłużył na słodycz, kto nie kosztował goryczy. *Trentowski.*

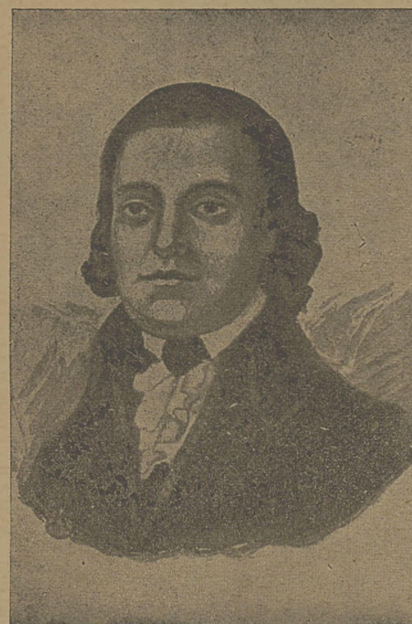


Olga Boznańska. **STUDYUM.**

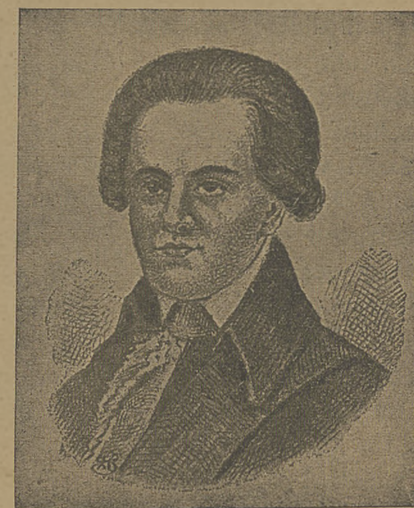
Wielka rocznica narodowa.



Stanisław Małachowski,



Hugo Kołłątaj,



Ignacy Potocki,

autorzy zarysu Konstytucyi 3-go maja.

„Witaj majowa jutrzenko,
Świeć naszej polskiej krainie“...

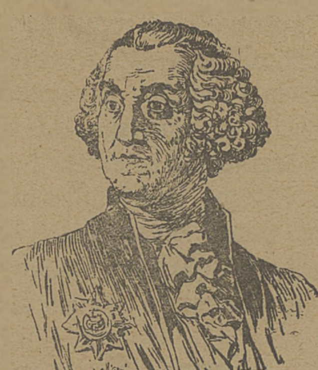
Od pierwszej chwili po uchwaleniu ustawy, która do dziś nosi tytuł: „Konstytucyi 3-go maja“ i naród polski i inne narody uznały ten czyn wielkiego Sejmu czteroletniego za przełomowy w historyi Polski. „Konstytucyą 3-go maja“ miał Sejm polski zaprowadzić w kraju sprawiedliwość, ład w wojsku, porządek w skarbie i sądownictwie. Długie wichrzenia miały ustać, wojsko miało być pomnożone do 100.000 żołnierza i zreformowane. Część przywilejów szlachty miała być przeniesioną na mieszczan, chłopom przyznano ulgi, uporządkowano pańszczyznę, w wielu miejscach zniesiono ją zupełnie.

Polska, która przez wiele dziesiątek lat znajdowała się w dziwnie niedołężnym stanie, którą gospodarzyli — niby szare gęsi — obcy mocarze, otrząsnęła się z ospałości, zobaczyła niebezpieczeństwo i pomyślała o lekarzu i lekarstwie. *Lekarzem została: miłość Ojczyzny i wolności, lekarstwem na niemoc i rany: konstytucya 3-go maja.*

Dość jeszcze w Polsce w owym czasie było zdrowych, uczciwych, dzielnych patryotów, dość ludzi chętnych do pracy i poświęceń. W kraju rozwinął się żywy ruch nad rozbudzeniem myśli narodowej, nad zaprowadzeniem nowych praw, nowych rozporządzeń. — Cała Polska przyjęła nową konstytucyę z oznakami żywej radości.

Zdawało się, że Polska odrodzi się i odżyje. Zdawało się, że nic już nie stoi na zawadzie do rozkwitu, do rozwoju nowej, polskiej potęgi. Naród ocknął się, zobaczył niebezpieczeństwo i wstąpił na drogę poprawy.

Lecz Polska miała wrogów poza krajem, a ambitnych i obrażonych magnatów w kraju. Caryca Katarzyna, król pruski Fryderyk, który kilka miesięcy przedtem przyjaźń nam przysięgał — porozumieli się z obrażonymi magnatami polskimi: Ksawerym Branickim, Szczęsnym Potockim i Sewerynem Rzewuskim, a ci zawiązali w miasteczku Targowicy konfederacyę, mającą za zadanie obalenie Konstytucyi 3-go maja, owego lekarstwa, przy pomocy którego znękany naród do sił przychodził. Do pomocy wezwali wojska moskiewskie.



Stanisław August Poniatowski, ostatni król polski.

Niedołężna obrona — straszna zdrada króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego, który przeszedł na stronę Targowiczan, dobiły Konstytucyę 3-go maja — przyszedł drugi rozbiór Polski. Zdrajcy przejrzeli — lecz było już zapóźno. Czołgali się potem u nóg carycy, błagając o litość dla Polski, kopnięci niby natarczywe psy, napiętnowani ogólną pogardą, marnie życie skończyli.

Próbował jeszcze potem ocalić Ojczyznę Kościuszko, lecz klęska pod Maciejowicami przyniosła i jego powstaniu upadek. Nastąpił trzeci i ostatni rozbiór Polski...

Dziś w wielką i wiekopomną tę rocznicę narodową z pewnością zainteresuje czytelników następująca korespondencya z Poznania z dnia 8-go maja 1791 r. w rządowej „Gazecie Warszawskiej“ nr. 37 zamieszczona (w skróceniu) p. t.:

Obchód Konstytucyi 3 maja czyli nadania praw miastom w Poznaniu dnia 8 maja 1791.

„Od wstąpienia na tron panującego nam dziś łaskawie Monarchy, ożywiana w sercu każdego mądrości i dobroci jego pamięć i uszanowanie rokrocznie dzień szanownych jego imienin czyniły najuroczystszym i ten stawał się powszechnego uwielbienia hasłem. Rok niniejszy, rok ten w czułem wspomnieniu dobrze myślącego Polaka dla kraju polskiego najpomyślniejszy z kolei dni swoich, blisko już uroczystość tak chwalebną dosięgający, tem milszą stawił ją w oczach wszystkich miasta tego obywateli, kiedy za przewodnictwem najlepszego z królów, w złączonej woli światłych i cnotliwych prawodawców, przy sterze poważnem dwóch wielkich mężów, ogłoszone na dniu 14 miesiąca kwietnia prawo miast obiło się o uszy ludu, a na dniu 3 teraźniejszego

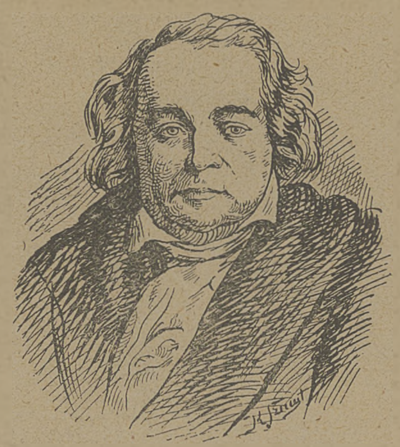
miesiąca epoka szczęścia i wiecznotrwałej pomyślności polskiej świętą rządu ustawą zaręczona, dała wszystkim jakoby odrodzić się na nowo w prawdziwem istotnej wolności odetchnieniu.

„W zbliżonym dniu tym magistrat tutejszy z wszystkimi miasta tego obywatelami dał poznać całej powszechności, jaką nosi w sercu swem pamięć zyskanych dobroczynnie względów, jaką tchnie wdzięcznością ku swemu monarsze i wielkiemu dziś narodowi polskiemu. Skoro wspaniałość dnia tak pożądanego i powszechnie w narodzie polskim czczonego setne z dział na wałach wystrzelanie przy odgłosie trąb i kotłów, wdzięk przygrywającej na trzech gankach ratusza muzyki, ogłosiły, natychmiast licznie zbiegać się zaczął do kościoła św. Stanisława z całego miasta i jego okolic lud na oddanie



Książę Adam Czartoryski.

przed Majestatem Najwyższego gorących a szczerych westchnień za całość Rzeczypospolitej od zaczęcia godnej szanownego wspomnienia rządu ustawy, za najdłuższe nadal w słodkiem panowaniu zdrowie Najjaś. Pana i za coraz więcej pomnażające się dobro narodu. Do gorących tych westchnień przyłączył swe modły magistrat poznański z cechami, znajdujący się na mszy wielkiej, śpiewanej przez WJ. X. Kotarbskiego, kan. katedr. pozn., pasterza miejsca, w przytomności kolegiaty, JWW. komisarzy cywilno-wojskowych, szkoły z chorągwiami asystującej, garnizonu, (który przez całe nabożeństwo z ręcznej strzelby ognia dawał) i licznie zgromadzonych województwa urzędników i obywateli, podczas której mszy stosowne do takowej uroczystości kazanie miał Jks. Gierszewski, lektor zak. kaznodziejskiego. Nabożeństwu temu przytomni także byli mieszczanie wyznania augsburgskiego, ponawiając swe modły, które w kościele swej religii, przy śpiewaniu „Te Deum laudamus“ i licznem przed tymże kościołem z dział biciu, poprzedzili. Tak przepędzonem zostało południe w szanownem



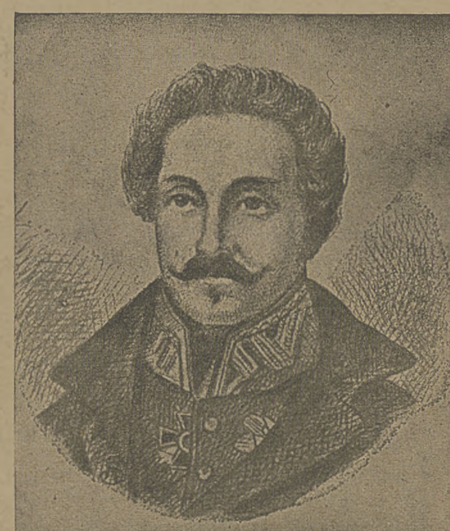
Julian Ursyn Niemcewicz.

poważaniu imienin wielkiego króla i ster obrad trzymającego godnego męża, któremu lud miejski osobne winien dzięki za troskliwą o los jego pieczę, każdy powrócił do domów swoich, ukontentowany z dopełnienia obowiązków tak chrześciańskich jako i obywatelskich. Zbliżyła się godzina wieczorna, w której dopiero otworzyły się chwile, które odkryły tę powszechną radość, jakiej lud uszanowaniem i miłością przejęty zmyślać nie umie; zapalone na ratuszu miasta tego lampy w pięknem sztuki architektonicznej ułożeniu, formowały w oczach każdego widok iluminacyi, dały jakoby hasło miastu całemu, na które w pięknych zajaśniało ogniach. (Tu następuje szczegółowy opis dekoracyi i iluminacyi ratusza, która według opisu przedstawiała widok niezmiernie piękny. Dla braku miejsca opis ten jako zbyt szczegółowy zniewoleni jesteśmy opuścić. Przyp. Red.). Iluminacyi ratusza na widok wystawionej dopomagały ognie, które mieszkający w kamienicach w Rynku i ulicach po oknach



Stanisław Staszic.

i galeryach rzęsisto rozstawili. Magistrat tutejszy dał w salach ratusza wielką kolacyę, na którą wszyscy najpierwsi prześwietnego stanu rycerskiego urzędnicy i obywatele pod ten czas w mieście znajdujący się i inni goście sproszeni, dzielili słodko współbawienie się z obywatelami stanu miejskiego, zdrowie Naj. Pana przez przytomnych tamże spełniane brzmiało przy wdzięcznych muzyki, trąb i kotłów, na gankach ratusza lampami kolorowemi na okół iluminowanych, odgłosach i nieprzerwanem z dział ognia dawaniu, za którym miłym odgłosem lud zgromadzony dla przypatrywania się tak ujmującemu widokowi w niezliczonem mnóstwie nie przestawał radośnie wykrzykiwać: vivat król! vivat naród! Rynek cały i ulice nie tylko własnymi mieszkańcami — ale zgromadzonym umyślnie na tę uroczystość z okolic o mil kilka ludem napełnione były, a zgoda i jedność pod węzłem miłości braterskiej widocznie wykazujące się, pomiędzy wszystkimi panowały. W ra-



Generał Józef Zajączek.

dosnych ludu spokojnego okrzykach odbył się akt ten uroczysty, słodkie jego w umysłach obywateli pozostało wyobrażenie, a dla najlepszego z królów króla i dla narodu wdzięczna za dobrodziejstwa pamięć w sercach naszych potomków wiekopomnie trwać będzie“.

* * *

Pamięć ta trwa też wiekopomnie w sercach naszych i dziś po 114 latach, po rozbiorze Ojczyzny, *Konstytucya 3-go maja, jak promienna jutrzenka, przyświeca nam z minionych lat i wskazuje drogi, któremi kroczyć mamy.* Miłość Ojczyzny, wolności, sprawiedliwości, poświęcenia dla sprawy narodowej i — jedność — której brak zgubił wielkie dzieło przodków naszych — *oto, cośmy w politycznym testamencie konstytucyi 3-go maja jako wskazania narodowe otrzymali.*

Zamieszczone ryciny przedstawiają prócz portretu ostatniego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, pod

którego rządam ogłoszono Konstytucyę 3-go maja, także portrety twórców i autorów tego wiekopomnego dzieła.

Fr. Karpiński.

Pieśń dziękczynna za Ustawę.

Na pamiątkę 3 maja 1791 r.

Boże! ludzie Twoi przyszli
Dziękować Ci w Twojej sieni,
Że z dawnych nierządów wyszli,
Łaską Twoją podźwignieni.
Sąsiad stanął zadziwiony:
„Tenże to naród zgubiony?“

Zdziwiło to ziemię całą,
Jak się kraj nasz chwały dobił;
Bo nie wiedzą, co się stało,
Że Bóg sam wszystko to zrobił!
Boże, widzieliśmy sami,
Że Ty byłeś między nami!

On to w nasze niepogody
Zbierał serca na swe łono,
I natchnął je duchem zgody,
I dał stałość niezwalczoną...
Tak, Sam pełniąc dzieło całe
Jeszcze nam ztąd zjednał chwałę.

Teraz jego wyzwoleńce,
Niedawno prześladowani,
Chodzimy włożywszy wieńce,
Szatą łask pańskich odziani.
Narody miejsce zrobiły,
Gdzie stanie lud Bogu miły.

Za to wszystkie kraju stany
Niesiemy Ci, Boże, dzięki,
Że każdy z nas ratowany
Mocą dzielnej Twojej ręki;
I dzień ten Pańskiej opieki
Święcić będziemy na wieki.



Samoanka
mieszkanka wyspy Samoa, znajdującej się w środku Oceanu Spokojnego.

Z dziedziny hygieny.

Wpływ wiosny na stan zdrowia.

Z pomiędzy pór roku wiosna najwięcej pobudza nas do odczuwania radości życia i potęguje w nas uczucie zdrowia i krzepkości. Ale zarazem pora wiosenna pod względem zdrowotnym wywołuje najwięcej chorób i najwięcej zachodzi wiosną wypadków śmierci. A nie tylko umierają osłabieni starcy, w myśl staropolskiego przysłowia: „Marzec, marzec! — umrze niejeden starzec!...“, lecz i ludzie w pełni wieku, a nawet nieraz modzieńcy, przepędziwszy poprzednio jeszcze zimę w stosunkowo dobrem zdrowiu!

Czemże się to dzieje?! Możnaby mniemać, że wiosna jako ten okres roku, w którym wszystkie twory przyrody do nowego budzą się życia, lub zaczynają życie pędzić silniejszym tętnem, w którym światło, powietrze i ciepło staje się w coraz to większej mierze udziałem wszystkich stworzeń, że ta luba wiosna powinna też obdarzyć wszystkie stworzenia wzmożoną siłą życiową! A jednak tak nie jest! Na wiosnę lekarze mają zwykle najwięcej do czynienia, a statystyka śmiertelności najwyższe wykazuje cyfry.

Najczęstszemi zachorzeniami wiosennemi są cierpienia narządów oddechowych, zapalenia płuc, przewodu oddechowego i przepony brzusznej, choroby te najwięcej czynią spustoszeń; pozatem groźnie też dają się we znaki napływka (influenca), szkarlatyna, żarnice i inne choroby zakaźne.

Powody licznych zachorzeń wiosennych są różnorakie. Zważać trzeba po pierwsze, że wilgotne ciepło wiosny ułatwia rozwój różnych drobnoustrojów, bakteryj, które tedy rzucają się na wszystkie ustroje ludzkie, przedstawiające im *podatne* pole działania! Z drugiej strony chłodne i surowe nieraz powietrze wiosenne, łącznie z wilgocią chłodną ziemi powoduje i u silniejszych, odporniejszych jednostek — gdy się nie mają na baczności — przeziębienia, torujące drogę różnym chorobom.

W ogólności zaś są ludzie przez zimę zbytniem wysiadywaniem w izbach zniewieściali i osłabieni, tak że różne silne podniety wiosenne, gdy wychodzą na świeże powietrze, zaczynają na nich działać, szczególnie prędkie zmiany temperatury, wywołują w ustroju zbyt gwałtowne wstrząśnienia. Nie dziw więc, że się przeziębiają łatwo i że szkodliwe zarazki chorobowe mają łatwiejszy do ich ciała przystęp. Tem ogólnem osłabieniem wskutek niedostatecznego ruchu zimą, niewłaściwego ubierania się itd. można zapewne wytłumaczyć w szczególności silniejsze na wiosnę pojawienie się blednicy i różnych cierpień nerwowych.

Czy możemy się oprzeć skutecznie wpływom wiosny wzburzającym i niepokojącym nasz ustrój? Czy nadzieja cieszenia się życiem pełniejszem, z jaką tysiące oczekują wiosny, jest płonną?! Stanowczo pora wiosenna, skutkiem

coraz dłuższych dni i wzmagania się mocy ogrzewającej słońca udziela ustrojom ludzkim nowego napięcia siły życiowej! Większy ruch na świeżem powietrzu wytwarza silniejszy apetyt; dalej zaś działają korzystnie na zdrowie czynniki duchowe: nadzieja używania przyjemności pory ciepłej, radość z budzenia się przyrody do życia, z kwiatów i t. d.

Ażeby módz z tego pobudzenia silnego, jakie nam daje wiosna, korzystać bez szkodliwych dla ustroju wstrząśnień, trzeba przedewszystkiem *zimą nie zapominać, że nadejdzie wiosna*, trzeba zimową porą *unikać osłabienia* ustroju! Praca fizyczna na wolnem powietrzu lub regularne przechadzki zimową porą, nie wyłączając dni słotnych (wtedy z odpowiednią ostrożnością, o ile ktoś osłabiony, przeziębiony itd.), uczynią nas niewrażliwymi na nagłe przeskoki temperatury wiosną! I słabsze osoby powinny zimą używać jak najwięcej ruchu na świeżem powietrzu!

Powtóre zważać trzeba wiosną na to, że wprawdzie powietrze jest silniej niż zimą, ogrzane słońcem, lecz że ziemia jest jeszcze bardzo chłodna, że ją słońce nie zdołało przegrzać! A więc przebywając na wolnem powietrzu, należy dbać o dobre obuwie (uważać na to szczególnie u dzieci!) i nie zatrzymywać się dłużej na jednem miejscu, przystając, lub, co gorsza, siadając na ławkach wilgotnych itp., albo, co najgorsza, kładąc się może na murawie, choćby w najgorętszem słońcu! Leżące na ziemi ciało wskutek tego, że ziemia jeszcze chłodna, szybko utraca ciepło a zarazem i swą siłę elektryczną, a zatem łatwo ulega przeziębieniu! W jesieni leżenie na ziemi nie jest tak niebezpieczne jak wiosną!

Dla osób, które osłabione są wyjątkowo, bądź to skutkiem choroby przebytej zimą, bądź też z powodu dawniejszych stanów chorobowych, zaleca się, o ile jest to możliwe, udanie się na wiosnę w okolice cieplejsze, ażeby na pewne uniknąć grożących im w zimnej temperaturze niebezpieczeństw. Niechaj każdy, kto „dla poratowania zdrowia“ urządza podróż *latem*, wspomni, że lato bez szkody dla zdrowia przebyć może w zwykłem miejscu pobytu, i że raczej na wiosnę powinien poszukać okolic o temperaturze stałej, łagodnej, równomiernej! Nie potrzeba przeto bynajmniej myśleć o krajach włoskich i innych południowych... Kto z Polaków jest o tyle zamożnym, iż może dla ukrzepienia zdrowia wyjechać na parę tygodni, niechajże to uczyni, udając się do cieplejszych stron polskich: w Galicyi przednią dla osłabionych miejscowością na pobyt wiosenny są *Kuty*, dalej *Zaleszczyki* i słynna kotlina kosowska; Zaleszczyki i kotlina kosowska mają najwyższą w Galicyi średnią ciepłotę roczną; zaciszne położenie Kosowa i równomierna temperatura zalecają pobyt w tej dolinie najwięcej osłabionym; zresztą powodzenie słynnej lecznicy *dra Tarnawskiego* w Kosowie jest najlepszem po temu świadectwem.

Uprzytomniając sobie, że, jak powyżej już rzeczono, jednem z korzystnych dla zdrowia działań wiosennych są myśli radosne i pobudzające, jakie nam ta pora odrodzenia nasuwa, łatwo zrozumieć, że pobyt w polskiej okolicy, wśród ludu polskiego, którego obyczaje możemy badać, i na który możemy działać obecnością naszą kształcąco i krzepiąco, więcej pożytku przyniesie szukającemu nowej w wiośnie siły, niżeli pobyt w ziemiach tyrolskich i włoskich. A więc nie zapominajmy, skoro chodzi o podróż krzepiącą na wiosnę, o naszej Galicyi!...

Jak prędko można czytać.

Podczas czytania zdumiewa przedewszystkiem szybkość, z jaką wprawne oko przebiega wiersze. W ciągu minuty można łatwo przeczytać 500 do 800 słów, czyli 80 wierszy średniej długości.

Co prawda, tak mały okres czasu nie wystarcza dla rozpoznania dokładnie kształtu litery. Przy szybkiem czytaniu nie widzi się dokładnie liter, odgaduje się je raczej, potrzeba na to niezwykłej bystrości wzroku.

Gdy, jak zwykle czytamy na odległość jednej trzeciej metra, siła naszego wzroku musi być tak wielka, abyśmy mogli widzieć te same litery na odległość metra. Nie powinniśmy zużywać więcej, jak trzeciej części siły naszego wzroku, inaczej zmęczymy się za prędko. Przy takiej szybkości linia naszego wzroku nie przebiega po wierszach z szybkości równomierną, lecz to przelatuje po literach, to się zatrzymuje. Im się wolniej czyta, tem owe rzuty i pauzy są dwanaście do dwudziestu razy dłuższe od rzutów oczu, przy odczytywaniu korekt sto razy dłuższe. Te alternatywy wypoczynku i rzutów mogą być porównane do poruszeń igiełki sekundnika. Jeden rzut oka trwa niecałą $1/50$ sekundy. Liczba rzutów oka na jeden wiersz, zależną jest przedewszystkiem od długości wiersza, a następnie od indywidualności czytającego.

Odległość książki lub gazety od oka nie odgrywa tu żadnego wpływu. Przy krótkim wierszu, są trzy rzuty, przy dłuższym następuje pięć pauz i przy długości wiersza 12 centymetrów — jest 7 pauz. Poruszenia muskułów ocznych, przy podnieceniu mogą być zastąpione poruszaniem głowy, nietylko oko, lecz i cała głowa idzie za linią wzroku. Zwykle jednak, człowiek czytuje w zupełnej nieruchomości. A jednak, mimo pozornego spokoju, wśród ciszy dokonywują się poruszenia gwałtowne: muskułowy aparat oka jest w ciągłym ruchu. Oko pada na początkowe litery wyrazów, prześlizguje się po następnych, obejmując je niedokładnie, przesuwa się z lewa na prawo, wypoczywa ćwierć sekundy i przebiega wiersz następny.

Szybkie czytanie byłoby niemożliwe od jednego rzutu, lecz ogarnia ono kilka, łączy je w wyrazy, w czem myśl dopomaga. Możemy jednym rzutem oka przeczytać nietylko jedno słowo, lecz przy wielkiej wprawie, całe zdanie. Obliczono, że w ciągu setnej części sekundy, można objąć parę słów razem, że w ciągu pięćsetnej sekundy można odczytać dokładnie słowo, złożone z 7 liter. Zależy to zresztą od kształtu słowa. Najłatwiej wpadają w oko duże litery zdań początkowych, litery nie przekraczające linii w dół, im słowa krótsze, tem prędzej się czyta. Linia naszego wzroku przy czytaniu biegnie po wierzchołkach liter, tak iż niepodobna odczytać słów, obciętych w górnej połowie, daleko łatwiej, gdy braknie dolnej. Górna część liter zawiera ich charakterystykę. Do szybkiego czytania przyczyniają się także mimowiedne wspomnienia dźwiękowe. Dlatego czytamy łatwiej i szybciej w języku dobrze nam znanym, z którym jesteśmy osłuchani.

Do silnych cierpień tylko silni są powoływani. Silny tylko upada łamiąc się z łoskotem; słaby znika nieznacznie, rozłażąc się i gnijąc.

Kazimierz Kaszewski.

* * *

Nie godzi się umierać duchem, gdy żyjemy ciałem.

I. J. Kraszewski.

* * *

Słodko jest pożądać, lecz słodziej jeszcze być pożądanym.

Henryk Sienkiewicz.

* * *



DO KRÓLOWEJ NASZEJ*)

O Pani świata, Królowo na niebie,
Teraz świat cały składa hołd dla Ciebie:
Kwiaty zakwitły, ptaszęta śpiewają,
Wszelkie żywioły dziś cię uwielbiają.
Racz się więc, Pani, nad światem zlitować,
A od nieszczęścia wszelkiego zachować.

Tyś sobie, Pani, miesiąc maj obrała,
I dla Swej chwały poświęcić kazała,
A więc my, Matko, pełniąc Twe życzenia,
Z serca do Ciebie szlemy głośne pienia:
Racz spojrzeć, Pani, na ten padoł ziemi,
Darz lud Ci wierny łaskami świętemi.

Świątynia Pańska przepełniona cała
Rzeszą sług Twoich, w niej brzmi Twoja chwała,
Śpiewają Tobie opuszczone dziatki,
Jako najlepszej swej Pani i Matki,
Uczyń więc, Pani, żeby nasze głosy
Prosto do Ciebie trafiły w niebiosy.

Dla Ciebie, Matko, w tym świętym kościele
Prosząc, byś szczupły dar ten przyjąć chciała,
A kwiaty cnoty w ich sercach zasiała.
Racz błogosławić, Matko nasza droga!
Tę drobną dziatwę, by rosła dla Boga.

Spójrz dobrem okiem na nas, Matko z nieba,
Użycz nam tego, co najbardziej trzeba:
Wlej w serca nasze pokorę i cnotę,
By nas wróg Wiary nie wtrącił w sromotę.
Matko Najświętsza, Matko nasza Droga!
Broń nas przed wrogiem świętej wiary w Boga!

Pryjmij, o Matko! prośby Twoich dzieci,
Niech święta wiara blaskiem wśród nas świeci,
Zlituj się, Matko, nad polską krainą!
Niech niedowiarstwa wszelkie z niej wyginą!
Bez Twej pomocy nic nie zrobim sami—
Zlituj się, Matko! zlituj się nad nami!

Ferdynand Kuraś,
chłop z nad Wisły.

*) Wielkiem świętem naszem majowem jest prócz rocznicy Trzeciego maja pierwsza niedziela maja, gdyż dzień ten poświęcony jest Matce Najśw. Królowej Korony Polskiej. Za Królowę narodu naszego obrał Ją król nasz Jan Kazimierz z wdzięcznością za cudowne ocalenie Częstochowy od Szwedów. Król złożył śluby swoje, czyli przyrzeczenia Matce Najśw. w katedrze lwowskiej u stóp cudownego obrazu M. Boskiej Łaskawej w r. 1656, a Ojciec św. Pius X. pozwolił nam w zeszłym roku uroczyście obchodzić święto Królowej Korony Polskiej w każdą pierwszą niedzielę maja, który to miesiąc, jak wiadomo, jest poświęcony nabożeństwom ku czci Matki Boskiej.

Dział kobiecy.

Podniesienie wytwórczości kobiecej.

Organizacya nauki robót kobiecych nie tylko wnika w wychowanie kobiety, ale posiada znaczenie daleko większe: wywrzeć może poważny wpływ na podniesienie wytwórczości rodzimej, otworzyć kobietom szerokie, a wdzięczne pole pracy zarobkowej, a tem samem ma doniosłe znaczenie społeczne.

Dziś kobiety cisną się z konieczności bardzo licznie do zajęć biurowych, często bez względu na to, czy mają do tej pracy wrodzone zdolności, zamiłowanie, czy nie. Niejedna może zajmując niezłą nawet stosunkowo posadę biurową, wolałaby z pewnością pracować samodzielnie i niezależnie, zajmując się robotami kobiecemi u siebie w domu.

Lecz jak się do tego zabrać? U nas rzadko tylko nadarza się sposobność wyuczenia się tego rodzaju pracy. Nie może się więc młodzież żeńska specyalizować w żadnym kierunku, a zresztą i praca robót kobiecych musi mieć swój zakres i czas odpowiednio wymierzony, po zatem zaś, aby módz doprowadzić do samodzielnego wykonywania jakiejkolwiek bądź pracy wytwórczej, trzeba dojrzalszego umysłu i rozwoju fizycznego, niż te, jakie posiadają dziewczęta, kończące naukę szkolną w 14 roku.

Jeżeli więc chcemy zatrudnić tysiące kobiet robotami ręcznemi **zarobkowo,** to w takim razie nauka robót przestaje być pomocniczym środkiem wychowawczym, **a staje się** wła[illegible]wie nauką rzemiosła i należy ją zorganizować tak, jak naukę innych fachowych zajęć wytwórczych. Potrzeba by więc koniecznie nietylko fachowych sił nauczycielskich, ale i należycie urządzonych specyalnych zakładów, w którychby udzielano nauki robót kobiecych w celach zarobkowych starszym dziewczętom.

Dzięki tandecie niemieckiej i żydowskiej, w którą się z jakiemś dziwnem zamiłowaniem zaopatruje ludność wiejska, zanikają powoli, a wytrwale tradycyjne ubiory ludowe swojskie. Nie byłoby więc od rzeczy, gdyby celowo pielęgnowano naukę robót kobiecych po miastach i wsiach.

Niestety, dużo jeszcze wody upłynie, zanim doczekamy się tak poważnego traktowania sprawy, takich wspaniałych zakładów i szkół zawodowych, jakie posiadają Niemcy w Wirtembergii, a które się obficie spo-

łeczeństwu wypłacają, dając tysiącom kobiet byt niezależny i przyzwoity zarobek.

Otóż, aby nie czekać z założonemi rękoma, aż owe doskonałe zakłady i u nas otwarte i zaprowadzone zostaną, wartoby zaprowadzić coś w rodzaju „wędrownych kursów robót kobiecych“. Urządzenie takich kursów nie przedstawiałoby zbyt wielkich trudności, ani też tak wielkich kosztów, jakby się to pozornie zdawać mogło.

Z wędrownych kursów zawodowych, urządzonych po miastach i wsiach większych, mogłyby korzystać te liczne nieszczęśliwe kobiety, które z konieczności zmuszone są żyć z igły, a nieraz i dzieci wychowywać, chociaż niewiele umieją, a tylko wrodzonym sprytem radzą sobie w tych zatrudnieniach, jak mogą. Są one niestety zbyt często za mało przysposobione do udzielania nawet elementarnej nauki szycia. Kilkumiesięczny kurs metodyczny podniósłby praktyczną wartość ich pracy, jako nauczycielek robót na wsi, a obok tego ułatwił im zarobkowanie przez wprowadzenie jakiegoś rodzaju robót, jako przemysłu domowego w danej miejscowości przez tamtejsze kobiety.

Mogłyby to być kursa kroju i szycia bielizny, bluzek, fartuszków, ubrań dziecięcych, albo też specyalne kursa dla wyrobu odzieży ludowej, wprowadzenie do tej gałęzi zarobkowej zastosowania maszyn, tak, ażeby nasze robotnice mogły podjąć konkurencyjną walkę z masową tandetą obcą. Do tego działu należy także wprowadzenie u nas tego, co się nazywa w potocznej mowie „fabrykacyą“ rozmaitych drobiazgów, służących do ubrania, jak: maszynowe roboty pończoszkarskie, wyroby szmuklerskie, parasolnictwo, wyrób krawatek męskich i damskich, gorsetów, rękawiczek, ozdób z piór ptasich, co stanowi przy teraźniejszej modzie olbrzymi dział wytwórczy itd., które to już działy w wysokim stopniu są w Galicyi zaprowadzone. Te wyroby przychodz do nas masami z innych krajów. W budżecie każdej rodziny wydatek roczny na te drobiazgi stanowi pokaźną sumę, a z całego kraju wychodzą za to corocznie miliony. Nazywamy je wyrobami fabrycznymi. Tymczasem w przeważnej części są to wyroby przemysłu domowego kobiet. Przedsiębiorca dostarcza kobietom w całej osadzie, nieraz w rozległych okolicach wzorów, materyału, potrzebnych im maszyn i przyborów, utrzymuje instruktorów, a jego — „fabryka“ jest właściwie kantorem, w którym jedni urzędnicy odbierają od pracujących w domu robotnic gotową robotę, a drudzy ekspedyują ją w świat, jako towar.

Kraj, który ma do odziania rocznie kilka milionów ludzi, jeżeli przeciętnie na jednego mieszkańca da zarobić przez rok miejscowym robotnikom parę marek, to już zaoszczędził sobie kilkadziesiąt milionów, tj. tych kilkadziesiąt milionów nie wyjdzie bezpowrotnie za granicę, ale zostaną one w kraju i dla kraju, dla tysięcy żon i córek miejscowej ludności.

Nie każde z wyżej wymienionych zajęć da się załatwić kilkutygodniowym lub kilkumiesięcznym kursem wędrownym. Niejedne z nich będą wymagały urządzenia specyalnych szkół zawodowych. Obyśmy na razie mogli choćby tylko kursy wędrowne urządzać, a ręczę, że nie tylko spryt i zgrabność będą korzyścią osiągniętą z nich, ale także, a raczej przedewszystkiem korzyści moralne, jakie przyniesie wyrobienie się pracowitości u tylu kobiet naszych, które od czasu zaprowadzenia lichej tandety fabrycznej, zapomniały zupełnie o kądzieli, a nawet nie potrafią dobrze władać igłą.

Harem sułtański.

Żaden władca turecki nie posiadał tak licznego haremu, jak strącony z tronu Abdul Hamid; rabował państwo i poddanych, żeby módz pełną garścią wyrzucać złoto dla swoich niezliczonych kobiet. Wieści o bajecznym zbytku, który panował w Ildiz-Kiosku, niejednemu wydawały się przesadzone; tymczasem, kiedy skutkiem rewolucyi pękły żelazne wrzeciądze bram cesarskiej rezydencyi, przekonano się, że ulubienice sułtana otoczone były więcej niż monarszym przepychem.

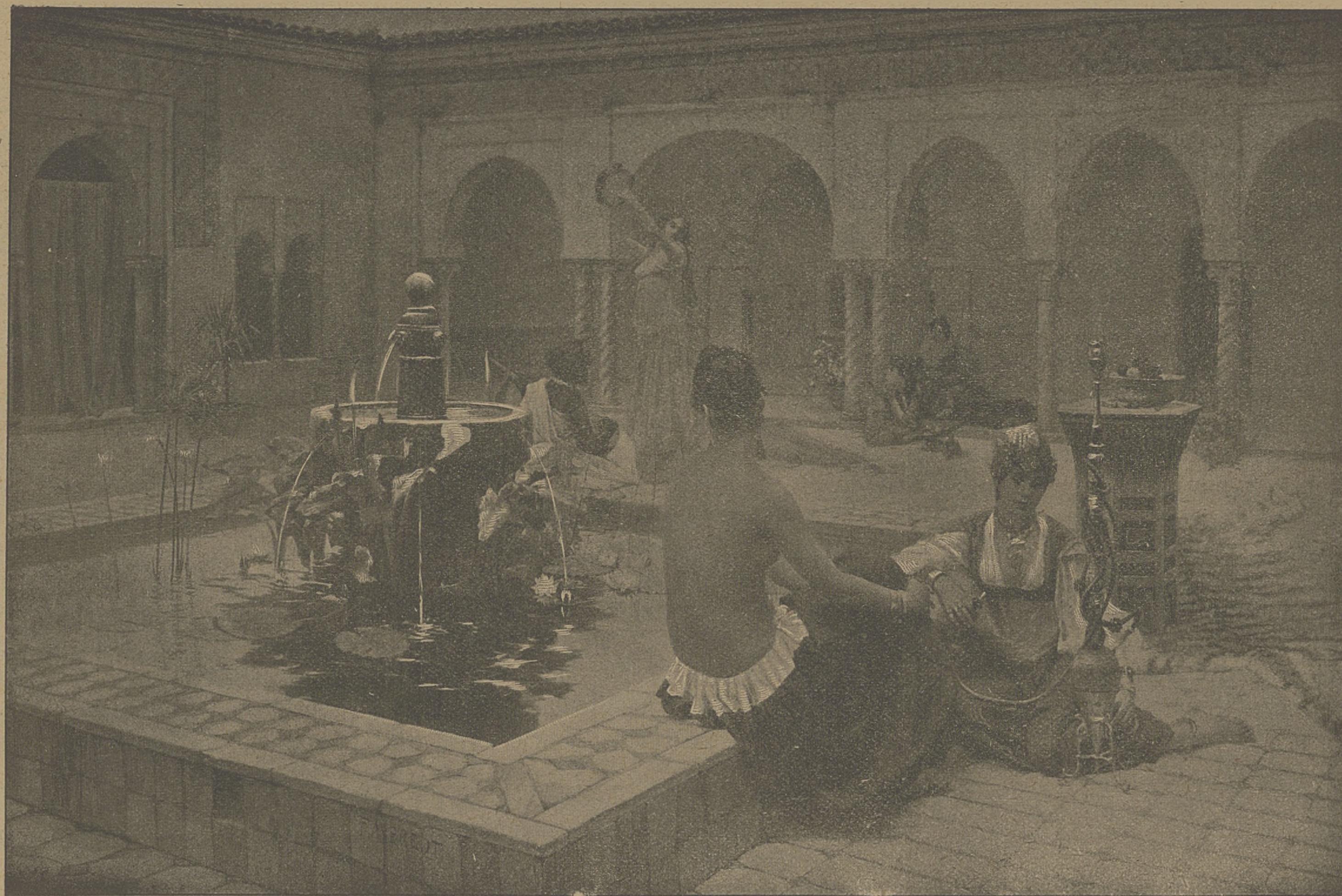
Niemniej było to więzienie — złocona klatka, w której o szczęściu nie mogło być mowy. Kto raz dostał się poza obręb tych murów, już z nich nie wyszedł i musiał na zawsze pożegnać się ze światem, rodziną, swobodą i miłością. A jednak istoty zamknięte w Ildiz-Kiosku były młode, piękne, powabne, miały w żyłach war gorącej krwi wschodniej, a w sercu pragnienie szczęścia i miłości.

Dostawały się tam jako niedorosłe dziewczątka, kupione od rodziców, albo porwane gwałtem. Przełożony nad niewolnicami Yusirdżi-Hanum oraz pierwsza haremowa niewolnica, Emine-Hanum, wysyłali agentów do krain słynnych z urodziwych kobiet: do Gruzyi, Rumelii i Syryi, ażeby tam zrobili wybór wśród najpiękniejszych dziewcząt. Szeik-ul-Islam corocznie podczas Ramadanu posyłał sułtanowi jakieś arcydzieło stworzenia. Starsze niewolnice haremowe, *kalfy*, które przed kilkunastu lub więcej laty przestąpiły próg seraju, ale nie znalazły łaski w oczach padyszacha, także zabiegały o to, żeby ozdobić jego ogród jakim żywym kwiatem wyjątkowej piękności, aż w końcu w Ildiz-Kiosku powstała jedyna w świecie kolekcya nadobnych kobiet.

Kupione dziewczęta, *aleiki*, uczono wszystkiego, co mogło podnieść ich wdzięki: śpiewu, tańca, powabnych ruchów, poetycznej mowy, a szczególniej sztuki przypodobania się. Wtajemniczano je także w kaprysy, upodobania i dziwactwa sułtana, dla którego były przeznaczone. Po dwóch latach, kiedy zostały już dostatecznie wyćwiczone, a piękność ich rozwinęła się, oddawano je na dwór jednej z księżniczek krwi, lub faworyt monarszych, i tam czekały tylko sposobności pokazania się padyszachowi. Skoro przybył odwiedzić jedną z tych dam, *aleiki* usługiwały mu, przynosiły kawę i sorbety, podawały ognia, tańczyły i śpiewały, otaczając go, niby rój różnobarwnych motyli. Przepyszny strój podnosił jeszcze ich wdzięki i młodość.

Abdul Hamid, znawca, jakich mało, przypatrywał im się pilnie, i wskazując na dziewczę, które najwięcej mu się podobało, zapytywał zwykle: „Kto to jest“? Na znak pani domu, wybranka padała wtedy do nóg panu i zwała się od tej chwili *giösde*, „wyczekująca“. Dostawała własne mieszkanie, w którem czekała, dopóki padyszach nie wezwie jej do siebie. Nieraz zdarzało się, że dni, tygodnie, miesiące i lata płynęły, nie przynosząc jej upragnionego wezwania. Sułtan zapomniał lub zobaczył piękniejszą dziewczynę i biedna *giösde*, skoro jej wdzięki przekwitły, stawała się kalfą i znowu wstępowała do służby u jakiej księżny.

Częściej jednak wieczorem pod jej oknami zatrzymywała się pyszna lektyka lub złocista kareta w otoczeniu eunuchów, którzy uroczyście prowadzili ją do pana. Jeżeli się podobała, nazajutrz rano była mianowana ulubienicą, *ikbal*, zaliczana do wielkich dam haremowych, dostawała pałac i dwór, którego mogłaby pozazdrościć niejedna królowa. Dwór składał się z samych kobiet, żadna bowiem mieszkanka seraju nie mogła widywać innych mężczyzn,



W haremie.

prócz sułtana. Eunuchowie strzegli ją pilnie; biada jej, gdyby dała choć pozór lekkomyślności!

Nawet prawowite żony sułtana, *kadiny* (liczba ich ograniczona jest do czterech), nie pochodziły z wyższego stanu, lecz były naprzód aleikami. Jeżeli która z nich wydała na świat dziecko, dostawała tytuł *kadine effendi* i zajmowała w haremie najwyższe stanowisko. Sułtan ma tylko czternaścioro dzieci żyjących, a najmłodszy syn urodził się na kilka miesięcy przed rewolucyą.

Na czele tego świata niewieściego, liczącego około 2,000 głów, stała matka padyszacha, sułtanka *walida*. Dwór jej, *daira*, był najwspanialszy, a pierwsze w nim miejsce zajmowała *chasnadarusta*, podskarbina. Żadna żona sułtana nie ośmieliłaby się usiąść w obecności jego matki, lub przemówić do niej niepytana; chcąc być u niej, trzeba było prosić o posłuchanie. Jeżeli wyjeżdżała, żołnierze prezentowali przed nią broń, lud padał na kolana. Tytuł jej brzmi po turecku: *taczmul-mestu-rat*, dosłownie: korona zasłoniętych głów.

Dwór każdej *ikbal* składał się z kilkudziesięciu kobiet i kosztował olbrzymie sumy; każda księżniczka krwi musiała mieć 30 do 40 sług niewolnic, po większej części pięknych i młodych, bardzo strojnie ubranych. Cóż dziwnego, że na utrzymanie haremu szło kilkadziesiąt milionów rocznie?

Życie tych pań płynęło prawdziwie po różach, nie było jednak urozmaicone. Do czytania miały jedynie stare książki tureckie, bawiły się więc przeważnie śpiewem, muzyką, patrzyły na tańce bajaderek, jeździły na rowerach w przepysznym parku Ildiz-Kiosku, pływały łodzią po jeziorze, paliły papierosy, żuły mastyks, zrywały kwiaty, jadły sodycze i stroiły się na zabój. Wolno im było przyjmować odwiedziny żon wielkich dygnitarzy, marszałków, ministrów — i od nich dowiadywały się o tem, co się dzieje poza murami haremu. Jeżeli sułtan był w dobrym humorze, opowiadał im różne historyjki z życia dworów europejskich. To wszystko jednak nie mogło wypełnić im dni, które dłużyły się w niewoli.

Jeżeli która ulubienica znudziła się panu, lub nie miała dzieci, padyszach darowywał ją jednemu z wyższych urzędników, uszczęśliwionemu z takiego zaszczytu. Wdowom po sułtanie nie wolno wyjść za mąż powtórnie, spędzają więc resztę życia w Starym Seraju. Tam przeniesiono *ikbale* i *kadiny* Abdul-Hamida po jego upadku, reszta zaś złotopiórych ptaszyn, wygnana z Ildiz-Kiosku, rozproszyła się po świecie.

Zdaje się, że w Turcyi już się nie powtórzy takie zgorszenie i marnotrawstwo. Obecny sułtan nie ma wcale haremu, a choćby nawet chciał pod tym względem wstępować w ślady brata, młodo-turcy sprzeciwiliby się temu.

OSTATNIE AKORDY.

Nowelka.

A więc „żyć nie będzie!“...

Dowiedziałem się tego od doktora przed dwoma godzinami, a do tej chwili nie mogę się uspokoić. On, ten, pełen życia, wesołości, swobody Zbych, on żyć nie będzie! Wyrok na niego już wydany, wyrok okropny, nieprawdopodobny, a jednak tak pewny.

Wszak ja sam powiedziałem to sobie w tajemnicy, gdym patrzył przed miesiącem jeszcze na jego woskową twarz, zapadłe oczy, zmęczone piersi. Powiedziałem to sobie sam, tylko uwierzyć nie mogłem, jak nie mogę jeszcze wierzyć dziś, choć mam niezachwianą niemal pewność.

Zbych — kochanek całej klasy, oko w głowie profesorów, dusza i głowa zarazem całej szkoły, on, w jednej osobie poeta, muzyk i pełen energii i stanowczości niestrudzony

pracownik na twardej glebie życia; ten Zbych, który umiał być miękkim, słodkim jak najidealniejsza kochanka i męskim, niezachwianym jak w pełni wieku i doświadczenia mąż.

Minęły już bezpowrotnie nasze zebrania wieczorne, nasze rozmowy namiętne w gronie wybranych kolegów.

Widzę jeszcze oczyma duszy, gdy spojrzę poza siebie, tę niską dymną izbę naszą, oświetloną jedną niezbyt jasną lampą. Siedzimy gdzie kto może; ten na krześle o nodze złamanej, tamten na jakiejś skrzyni, co w każdej służyła potrzebie, ów na stole, bujając nogami w powietrzu. I Zbycha widzę zawsze na jednem i tem samem miejscu — przy ukochanym fortepianie. To było wyłącznie jego stanowisko. Stamtąd rzucał ku nam słowa zachęty, pociechy, rady; tam, oparty jedną ręką na otwartej pokrywie instrumentu, czytał nam swoje wiersze, snuł nadzieje na przyszłość czarowną... Tam wystarczyło mu tylko palce na białe położyć klawisze, by śpiewać nam pieśń wiecznie grającą w jego duszy...

A myśmy słuchali w milczeniu, nie śmiąc słowem ni ruchem nawet spłoszyć powiewnej jego muzy natchnienia.

Mijały długie kwadranse i pół... na miastowym wybiła zegarze, gdy wreszcie wstawał od fortepianu z wypiekami na policzkach, lecz zdrów i pogodny.

A teraz leży sam na swojem dawnem łóżku studenckiem, a z grona dawnych kolegów serdecznych zostałem mu tylko ja jeden.

Życie rozprószyło przyjaciół — pozostały tylko wspomnienia.

Ach, opanować się teraz, nie dać poznać po sobie, że wiem cokolwiek.

On tak pragnie żyć, tak się rwie do świata, do szczęścia!

Otwarłem drzwi cichutko i na palcach wszedłem do pokoju.

Przez otwarte okno płynęły fale rozkosznego ciepła, dochodziły śpiewy ptasząt ukrytych w cieniach ogrodu, leciuchny, ledwie dostrzegalny powiew wiatru niósł zapachy wiosennych kwiatów.

Zbych leżał na łóżku z zamkniętemi oczyma. Poruszał się niespokojnie, a blade, wychudłe jego ręce błąkały nieustannie po kołdrze, jakby czego szukając.

Usiadłem przy nim, patrząc w jego alabastrowe policzki i rozsypane na poduszce włosy.

Pod mojem spojrzeniem podnosiły się powoli zapadłe powieki, a uśmiech łagodny rozweselił jego rysy, które nadchodząca już śmierć poczęła rzeźbić delikatnem swem dłutem.

Z trudem wyciągnął do mnie rękę:

— Jak dobrze, żeś przyszedł!... Pragnąłem cię dziś bardzo... Dobrze mi już, całkiem prawie dobrze... Najgorsze zło minęło... wiosna da mi zdrowie i siły... pragnę słońca i ciepła; ach, nie pojmiesz nawet, jak pragnę żyć!... Biedny mój fortepian stoi smutny i cichy, nie mogę zwlec się do niego, ale dziś, dziś ty mi pomożesz. Prawda, że mi nie odmówisz... Muszę dziś zagrać, muszę koniecznie, lżej mi będzie potem czekać, aż siły powrócą...

— Nie bój się, nic mi się nie stanie — uspakajał mnie, gdym próbował wytłómaczyć mu tę niewinną zachciankę — okryjesz mnie pledem i tylko ręce mi wolne zostawisz, abym je mógł położyć na drogie klawisze. Jakże pragnę grać!... A potem spokojny już będę, aż przyjdzie dzień, że wyjdę na świat Boży, na słońce, na życie! Nie chcę jeszcze umierać! chcę tworzyć i pracować! Tyle mam do spełnienia jeszcze.

Umilkł wyczerpany i głowę opuścił na poduszkę, ale nieprzeparte pragnienie muzyki nie opuszczało go i dalej.

Błagał mnie, jakby o łaskę, by pomódz mu się ubrać. Nie mogłem oprzeć się prośbie może ostatniej. Okryłem biednego Zbycha jak mogłem najcieplej i wziąwszy pod ramiona, podniosłem z łóżka. Biedne jego nogi ledwie zdołały udźwignąć ciężar wynędzniałego ciała. Kryłem twarz, by nie spostrzegł łez, które się gwałtem cisnęły do oczu; piersi rwało mi tłumione łkanie.

Ten biedny chłopak myśli, że żyć będzie! biedny Zbych. Niech że mu nic nie rozwieje nadziei ostatniej.

Doszliśmy wreszcie do fortepianu. Posadziłem Zbycha ostrożnie na krześle i otuliwszy nogi ciepłym szalem, stanąłem przy nim, by być gotowym w każdej chwili.

Podniósł blade, jakby potem śmiertelnym pokryte, bezkrwiste ręce i złożył je na klawiszach...

Z pod wychudłych palców zadźwięczały pierwsze akordy żałobnego marszu Szopena... Lekkie, zaledwie dosłyszane tony popłynęły w ogród, by zmieszać się tam ze zwiewną, rozkoszną wonią narcyzów i hiacentów...

Nagle ręce Zbycha załamały się i bezwładnie opadły na kolana.

— Nie mogę... — wyszeptały blade wargi — nie mogę...

Były to ostatnie jego słowa...

Dziś leży już martwy, z kamiennym spokojem na cudnie rzeźbionej twarzy i tylko na ustach pozostał mu jakby ślad bolesnego zawodu...

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 1-go maja 1576 koronacya Stefana Batorego i Anny Jagiellonki. — 1711 śmierć Andrzeja Załuskiego, biskupa warmińskiego. — 1831 odezwa naczelnego wodza do krajów zabranych.

Dnia 2-go maja 1063 Bolesław Śmiały zdobywa Kijów. — 1417 małżeństwo Władysława Jagiełły z Elżbietą Pilecką. — 1576 ślub Stefana Batorego z Anną. — 1648 koniec bitwy i klęska pod Żółtemi wodami. — 1705 prymas Radziejowski ogłasza bezkrólewie. — 1813 wojsko polskie opuszcza Kraków. — 1848 bitwa pod Wrześnią.

Dnia 3 maja 1454 Prusacy wykonywają przysięgę wierności. — 1660 traktat oliwski. — 1791 ogłoszenie konstytucyi. — 1809 pobicie Austryaków pod Górą. — 1875 utworzenie Królestwa Polskiego.

Dnia 4 maja 1439 śmierć Spytka z Mielsztyna. — 1472 Czesi wzywają na tron Kazimierza Jagiellończyka. — 1505 sejm w Radomiu zatwierdza statut Aleksandra. — 1666 zerwanie sejmu przez Miaskowskiego. — 1726 śmierć Ferdynanda Ketlera, ostatniego księcia kurlandzkiego. — 1768 nota posłów moskiewskiego i pruskiego. — 1831 bitwa pod Prystowianami.

Dnia 5 maja 1260 trzęsienie ziemi w Polsce. — 1399 Bonifacy IX papież przyrzeka być chrzestnym potomka Jagiełły. — 1629 śmierć poety Szymona Szymonowicza. — 1791 zaprzysiężenie konstytucyi przez sejm i króla. — 1829 otwarcie biblioteki Raczyńskich w Poznaniu. — 1831 powstanie w powiecie hajsyńskim. — 1831 uchwała sejmu co do Ziem zabranych.

Dnia 6 maja 1686 traktat Grzymułtowskiego z Moskwą. — 1763 urodzenie Józefa Poniatowskiego. — 1848 utarczka pod Śremem.

Dnia 7 maja 1383 Ziemowit usiłuje zająć Kraków i ogłosić się królem. — 1764 sejm konwokacyjny otoczony wojskiem moskiewskiem. — 1768 Stanisław Poniatowski ustanawia order św. Stanisława. — 1787 zjazd carycy Katarzyny z Poniatowskim w Kaniowie. — 1794 bitwa z Moskwą pod Polanami. — 1831 niedołężne powstanie na Ukrainie. — 1833 wymordowanie przez Moskali ujętych emisaryuszów.

Humor i satyra.

W starym piecu...

Świat w błękicie się uśmiecha,
Zdobne kwieciem drzew konary,
Wokół radość i uciecha,
Wszak to wiosny cudnej czary!...

Ptactwo różne nuci trele,
Woń tak silna, że odurza,
Wszędzie ci się bujnie ściele
Z traw kobierzec u podnóża.

Słońce wzbiło się wysoko,
Zmierzam więc, gdzie lipy stare,
Wtem dostrzegam oko w oko,
Zakochaną jakąś parę...

Ona, patrząc w jego oczy,
Niby słucha czułej mowy,
A on w jedwab jej warkoczy
Wpląta grzebień brylantowy.

Miło spojrzeć, kiedy młodzi
Są w ekstazie upojenia
Taki widok życie słodzi,
Lecz... w tem drgnąłem z przerażenia!

Dziewczę tchnęło „amoroso,“
Oczy ogniem jej błyszczały,
A kochankiem był, o zgrozo!
Dziad już siwy i zmurszały!...

Roześmiałem się serdecznie
Z tej komedyi, jaką grali,
Wszak tak bywa ostatecznie:
„W starym piecu dyabeł pali!“

* * *

Ze świata dziecięcego.

Wujek Wojciech. Dlaczego tak rzewnie płaczesz Stasiu?

Staś. Wygrzebałem w ogrodzie dołek, a mama nie pozwoli mi go przynieść do pokoju.

* *

Wet za wet.

Gość (do pana w peruce). Nie mogę wyjść z podziwienia, łaskawy panie, jak pan może nosić włosy obcego człowieka na swej głowie?

Pan w peruce. O, panie, wszakżeż pan także nosi na swem ciele wełnę obcego barana.

* * *

Przecudna urna.

— Panie Meyer, pańska przecudna urna jest z pewnością z Pompei?

— Bynajmniej, zdaje się, że jest z terakoty.

* * *

Złośliwie.

Lekarz. Jak się miewa pani małżonek?

Pani. Jest już zdrowy.

Lekarz. Zkąd to stanowcze twierdzenie?

Pani. Znowu hałasuje przez cały dzień.

Wydało się.

— Czy pan X. jest w domu?

— Żałuję, wyjechał na trzy miesiące!

— Jakto, miał przecież wyjechać dopiero na przyszły tydzień?

— Racya... ale wzięto go już wczoraj rano niespodzianie.

* * *

Po żołniersku.

— Panie generale — rzekła uprzejma gospodyni do swego gościa, bohatera wielu bitew — lubi pan muzykę klasyczną?

— Nie mam strachu i przed nią, pani dobrodziejko! — odpowiedział odważnie generał — aczkolwiek z tym nieprzyjacielem jeszcze nigdy nie stanąłem oko w oko!

* * *

Malarz antysemita.

— Wiesz, gdyby baron Rubelman zażądał odewnie portretu, tobym...

— Odmówiłbyś malowania?

— Nie, ale bym postawił dwa razy większą cenę — niż ty!

* * *

Po żydowsku.

— Co ty sobie myślisz, ty szajgec? Ty nie potrzebujesz się rządzić jak gęś na szaro!

* * *

Interes.

— Icek, wiem dla ciebie interes.

— Ny, jaki?

— Pożycz mi dziesięć marek.

— Aj waj, to ma być interes, kiedy ja nie będę już oglądał?

— Naturalnie, że to interes, bo gdybym ci te dziesięć marek zaraz wziął z kieszeni, toby była kradzież.

* * *

Te same warunki.

Kawaler (najmując pokój). A co pani płacił poprzedni lokator miesięcznie?

Gospodyni. Ten łobuz!? Ani grosza nigdy!

Kawaler. A więc dobrze... Biorę to mieszkanie pod tymi samymi warunkami!

* * *

Złodziejska familia.

Zeflik: Co wy w niedzielę wieczorem robicie w domu?

Gustlik: O, siedzimy wszyscy koło stołu, a tata nam czytają, paragrafy z kodeksu karnego.

* * *

Dowcipna Kasia.

Kasia: — Proszę też wielebnego księdza proboszcza, aby nam już raz dał ślub.

Pleban: — Ależ kiedy twój narzeczony pijany.

— To też właśnie dla tego.

— Jakto?

— Bo jak on trzeźwy, to się nie chce ze mną żenić.

* * *

15 lat bez wody.

Syn: — Mamo tu piszą, że wielbłąd 15 dni wytrzyma bez wody.

Matka: — To jeszcze nic, twój ojciec już 15 lat nie pił kropli wody.

* * *

Prędzej.

— Czy pan jest pan doktór?

— Tak.

— To może pan pójdzie do mnie, bo mi mąż umiera.

— Jeżeli umiera, to ja po co?

— Ano, zawsze przy konsyliarzu będzie mu się umierało i prędzej i łatwiej.

* * *

Dobre wytłómaczenie.

Pewna pani, która się niedawno do miasta sprowadziła, mówi do piekarza:

— U was bułki nadzwyczaj są małe — a u nas daleko są większe!

— Ja też wiem, czemu — odpowiedział piekarz.

— No i czemu? pyta pani ciekawa.

— A bo tam więcej ciasta do nich biorą.

NASZ KĄCIK.*)

Paula Wężyk.

Do dzieci!

Dziewczynki i chłopczyki,
Hej, dziatwo ma wesoła,
Uciszcie gwary, krzyki,
Bo głos mój na was woła!
Tu chodźcie, tu, tu do mnie,
Pogwarzę z wami trocha,
Bo kocham was ogromnie,
Z was które czy mnie kocha?
Już znacie dzieci może
Powiastki me i wiersze,
Że, chociaż czasem grożę,
To serce mam najszczersze,
Że lgnie me serce szczerze
Do wszystkich polskich dzieci
I niesie im w ofierze
Tę miłość, co w niem świeci.
Że w waszych sercach, dziatki,
Chcę posiać ręką hojną
Najczystszej cnoty kwiatki
Na życia drogę znojną.
Chcę wolną przynieść chwilką
I radość i wesele,
Ach, szkoda, szkoda tylko,
Że miejsca tu nie wiele.
Lecz dziewczę i chłopczyku,
Do kółka chodź, do kółka,
Choć ciasno tu w kąciku,
Was woła — przyjaciółka:

Wiosna.

Ach, co światła i co blasku
Na łące, w polu i w lasku,
Wyjdźmy dziś za domu próg
Wiosnę, wiosnę dał nam Bóg.
Co za zapach, ileż woni
Płynie polem i od błoni,
Pobiegnijmy szybko w las,
Wiosna, wiosna woła nas.
Jakiż piękny ten świat cały,
Drzewa świeżo się odziały,
Wabi oko zieleń łąk,
Wiosna, wiosna wszędzie, w krąg.
Niebo słonkiem lśni się złotem.
Cicho! Ptaszki swym szczebiotem
Głoszą Bogu chwałę, cześć
I nam trzeba głosy wznieść!
Powiedz Bogu, o piosenko,
Że cieszymy się wiosenką
I że dziatwa serca swe
Wraz z wiosną odświeżyć chce.

Więziony ptaszek.

„Czyż smutny los mój już się nie zmieni?
Zamiast błękitu, zamiast przestrzeni
Mam ciasną klatkę tu.
Czyż już się z piosnką w niebo nie wzniosę
I nie pofrunę na łąkę, w rosę,
By zmyć me oczka z snu?
Czy nie rozstanę się już z mym smutkiem,
Czy nie wypocznę w gniazdku cieplutkiem,
Gdzie serce matki drga?
Wydarła z gniazdka, wzięła od matki
I tu, do ciasnej zamkła mnie klatki
Dłoń ludzka twarda, zła.“
Tak swej swobody pomnąc czas złoty
Śpiewa ptaszyna piosnkę tęsknoty.
Snać mały Janek pojął treść skargi,
Bo choć mu żalem zadrgały wargi,
Lecz poczuł w prawej duszy swej młodej,
Że ptak by w klatce zmarł bez swobody,
A więc więźniowi otwarł drzwi klatki:
„Pofruń że szybko, pofruń do matki,
Rozgrzej się w słońcu, napij u zdroja,
Śliczna, więziona ptaszyno moja!“

Zagadka rachunkowa.

Jakież wyście też ciekawe!
Chcecie, bym wam zdała sprawę
Na dziewcząt dwadzieścia kilka,
Która w klasie jest Marylka?
Niech policzy, kto chce wiedzieć,
Którą ona może siedzieć:
Zlicz twe oczy, nos wraz z bródką,
Mnóż przez dziesięć, lecz pręciutko,
Dodaj usta, uszu dwoje,
Jeszcze u rąk palce twoje,
Prędko siedem dołóż potem,
Myśl bujając szybkim lotem,
Niech przez trzy wszystko podzieli,
A będziecie wnet wiedzieli,
Którą w klasie jest Marylka.
Ach, gdybyż wzorem motylka
Myśl jej ciągle nie bujała,
Możeby pierwszą siedziała.

P. W.

*) Pod powyższym tytułem rozpoczęliśmy zamieszczać od dnia dzisiejszego wierszyki, artykuliki, zagadki i t. d. dla dzieci. „Nasz kącik“ regularnie co tydzień znajdować się będzie na tem samem miejscu. Tak rodzice jak też dzieci powitają z pewnością nowość tę z radością tym więcej, że redaktorką tego działu jest nasza zaszczytnie znana wielkopolska poetka pani Paula Wężyk. — Przyp. Redakcyi.

ZAGADKA.

Ułożył czytelnik naszego pisma p. Hipolit Wodecki z Ropczyc w Galicyi.

Ułożyć 1 spółgłoskę i 1 samogłoskę i 11 wyrazów, których środkowe litery tworzące przekątnie dadzą nazwisko i przydomek sławnego rycerza i wojownika z pod Grunwaldu.

ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. Spółgłoska.
2. Miara.
3. Wyrobnik dzienny.
4. Matka.
5. Inaczej wysyłka.
6. Miasto w Galicyi nad Dniestrem.
7. Wyraz szukany.
8. Potrzeba albo mus.
9. Znajda.
10. Łuczywo.
11. Miejsce śmierci Władysława III.
12. Inaczej spodek.
13. Samogłoska.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 5-go maja włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też znaczenia wyrazów.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w numerze 16-ym:

W i ś l i c a.
I g n a c.
N a r e w.
C z a c k i.
E z e c h i e l.
N a n o ś.
T r e n y.
Y s c h i m.
P a j ą k.
O n t a r i o.
L u i d o r.

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 21-go kwietnia włącznie następujące osoby:

Z Poznania: pp. St. Olbliński, Aurelia Matuszewska, Zygmunt Świerkowski, M. Kliks, S. Generowicz, Czesław Wojciechowski, Łucyan Kwarciński, Janek z pod Góry Przemysława, Kazimierz Kubowicz, Mieczysław Radomski.

Z Poznańskiego: pp. Wałoś Golimowski i Jaroch Czabański z Zaniemyśla, Dr. Żmidziński ze Skalmierzyc, Anna Hofman i Zofia Stachowska z Grodziska, Jadwiga Janowska z Mogilna (nadesłała jednocześnie 1 mk. na fundusz Czytelników „Pracy“ dla Towarzystwa Czytelni ludowych), Stasiu Rychlicki z Krotoszyna, Helena Kornaszewska z Inowrocławia, Helena Strzelecka ze Strzelna, Stefania Kubacka z Koźmina, Aleksanderek z Wiatrowa, Stanisław Pietrzak ze Strzyżewa kośc., Walenty Szejner ze Słomowa p. Parkowo, Zofia Górczyńska z Wiecanowa pod Mogilnem, Zofia Sławińska z Zembowa pod Lwówkiem, Walerya Borowiczówna z Reńska pod Wielichowem, Franciszek Chytry z Kobylina, Tola Kozłowska ze Stęszewa.

Z Prus Zachodnich: pp. Pelagia Nowak z Grudziądza, Kazimierz i Stanisława Balcerscy z Wąbrzeźna, Józef Karasiewicz z Tucholi, F. Arendt z Kizlinek pod Sztumem, Władysław Czyżewski z Jaźwisk.

Ze Śląska: pp. Klara Musialik z Rozbarku, Wiktor Polak z Bobrku, P. Penczek z Dziećkowic, Walenty Szkoda z Zabrza, Jan Badura, Jadwiga Badura, Albina Badura, Berta Badura i Alfred Badura z Roździenia, Alojzy Kopel z Zebrzydowic (Śląsk austryacki).

Z Galicyi: pp. Marya Świtkowska z Krakowa, Gizela Ochenduszko z Liska, K W. Dębowski z Wieliczki.

Z obczyzny: pp. Ludwika Bock i Ludwika Wegner z Berlina, Kasper Kuliński z Welzow i Stefania Dużeńska z Neu-Welzow.

Nagrodę otrzymali: pp. Aurelia Matuszewska z Poznania, Jadwiga Janowska z Mogilna i Józef Karasiewicz z Tucholi.

DLA PRZYKŁADU.

3) OBRAZEK Z OSTATNIEGO POWSTANIA NARODOWEGO.

(Ciąg dalszy).

— Ale w tym czasie umarła mi matka. Po jej śmierci pokazało się, że rodzice mieli trochę długów, więc wszystko co po nich zostało, zabrali dłużnicy a ja znalazłem się bez żadnego sposobu do życia. Nie chciałem się jednak rozstać z myślą udania się na uniwersytet; próbowałem wszelkich możliwych sposobów, aby ten zamiar doprowadzić do skutku, i w tym celu podałem nawet prośbę do kuratora szkół tutejszych, prosząc, abym mógł być w uniwersytecie na koszt skarbowy. Była to moja ostatnia nadzieja. Prośbie mej odmówiono — nie mogłem już myśleć o uniwersytecie, trzeba było szukać środków do codziennego chleba. Ciężko to mnie przychodziło. Starałem się o guwernerkę, i pierwszego miesiąca istotnie miałem jedną lekcyę. Z tej jednej lekcyi w żaden sposób utrzymać się nie mogłem, wystarczało to jedynie tylko na obiad, który jadałem za piętnaście groszy, w znanej traktyjerni ubogich przy Ostrej bramie. Szukałem więcej lekcyi, lecz ubogi, bez protekcyi — nietylko że nie znalazłem innych, lecz i tamtą utraciłem. Zabrakło mi obiadu. Dwa dni żyłem o suchym chlebie, brak mieszkania nie był mi wówczas zbyt dotkliwym, ponieważ pogodna i ciepła jesień pozwalała mi używać spoczynku na wolnem powietrzu. Najczęściej nocowałem albo w lasku antokolskim, albo w Zakrecie. Położenie było rozpaczliwe, przyszłości żadnej. Walczyłem z sobą pod względem wyboru pracy. Dotąd myślałem, że powinienem umysłem, nie siłami fizycznemi pracować. Doświadczenie przekonało, że to być nie może, postanowiłem więc koniecznie jakiekolwiek zatrudnienie znaleźć bez wyboru. Pewnego razu, nie jedząc kilka dni nic ciepłego, wypiłem w jednej kawiarence na Wielkiej ulicy za ostatnie kilka groszy filiżankę czarnej kawy. Znalazłem tam najświeższy numer „Kuryera“, gdzie między ogłoszeniami wyczytałem wiadomość, że niejaki cukiernik z Zamkowej ulicy potrzebuje subjekta i kładzie w swem żądaniu jako konieczny warunek trzeźwość. Poszedłem natychmiast do owego cukiernika, u którego dostałem miejsce, i pracowałem tam aż dotąd. W ostatnich czasach nieźle mi się powodziło, gospodarz był na mnie łaskaw — zebrałem trochę pieniędzy i poznałem rodzinę szewc....

— Dość tego — przerwał prezes — wszystko, co powiedziałeś, nie ma ścisłego związku ze sprawą, którą się zajmujemy. Szczegóły twojej przeszłości są nam poniekąd znane, zapytywałem o nie tylko dla formalności, abyś wiedział, że postępujemy podług litery prawa i sprawiedliwości. Jesteś obwinionym o zbrodnię polityczną wielkiej doniosłości.

III.

Protokolista, przeczytaj mu dawniejsze oskarżenie, niech takowe stwierdzi dobrowolnem zeznaniem.

Protokolista powstał, i zaczął głośno czytać:

„Urodzony Jan Maliński, oskarżonym jest o...

W tej chwili z drugiej części sali, przyległej do drzwi wchodowych, wysunęła się prędko szpakowata figurka, z wyrazem twarzy trącącym nikczemnością i opilstwem.

— Przepraszam — rzekł ten człowiek, występując na środek sali i zbliżając się do stołu indagacyjnego — jaśnie wielmożnego prezesa, że ośmielam się przerwać na chwilę śledztwo. Zanim rozpocznie się dalsze badanie, mam przyjacielski — obowiązek przedstawić szanownym panom pana Malińskiego, jako kolegę obozowego; służyliśmy z nim razem pod Sierakowskim.

Wyrzekłszy to, parsknął śmiechem piekielnym.

— Czy tak? — zapytał uśmiechając się żartobliwie prezes — nie wiedziałem o tym szczególe, który przecie warto było dołączyć do owej awanturniczej autobiografii.

Maliński zbladł, z przerażeniem i podziwieniem spojrzał na swego oskarżyciela. Rysy tego człowieka były mu całkiem obce, nigdy go nie widział, lecz po głosie przekonał się, że to był ten mniemany więzień, który wczoraj zadawał mu pytania z sąsiedniej kaźni. Teraz uczuł całą nieroztropność i nieostrożność swego wczorajszego wynurzenia się. Starał się przypomnieć sobie najdrobniejsze szczegóły tej rozmowy, aby doń zastosować obecne odpowiedzi. Wyprzeć się tego, że należał do powstania, było w tej chwili niepodobna. Westchnął więc tylko do Boga, a zdecydowawszy się na wszystko co go spotka, podszedł jeszcze bliżej do stołu, z uniesieniem spojrzał na święty krucyfiks, i przybrał postawę poważną, śmiałą, godną bohaterskiego męczennika, odważnie i z rezygnacyą idącego cierpieć za ukochaną ojczyznę.

— Więc to prawda? — ciągnął dalej prezes.

— Tak, prawda, byłem w powstaniu i walczyłem dobrze.

— O, jaki hardy!

— Jestem szczerym, ponieważ przed Bogiem i przed tym krucyfiksem czuję się zupełnie niewinnym; spełniłem moją powinność.

— Zazdroszczę panu — rzekł prezes, zmieniając sposób mówienia — tych laurów, na jakie na polu bitwy, czyli na drodze buntu przeciw rządowi, sobie zasłużyłeś. Ale zazdroszczę i winszuję jeszcze więcej tego, że to, coby w innym razie było zbrodnią, za którąbyś pewniuteńko poszedł kopać złoto, teraz prawie cię nie obwinia. Zbrodnia bowiem, o którą jesteś oskarżonym, jest tak sromotna, tak bezbożna, że wobec niej nikną wszelkie inne twoje przestępstwa i na nią tylko zwrócimy uwagę.

— Cóż to takiego, panie prezesie?

— Protokolista, czytaj akt oskarżenia.

Protokolista odchrząknął, i znowu zaczął czytać po moskiewsku:

„Urodzony Jan Maliński oskarżonym jest o zamiar politycznego skrytobójstwa, które w części zdołał dokonać na szanownej osobie jaśnie wielmożnego gubernialnego marszałka Domejki, kamerjunkra świty jego imperatorskiej mości, kawalera orderów itd. Wspomniony zbrodniarz, zdradziecko wpadłszy do mieszkania jaśnie wielmożnego marszałka, kamerjunkra świty jego imperatorskiej mości, wielu

orderów kawalera. Działo się to dnia 11 sierpnia, w mieście Wilnie, w osobistem mieszkaniu jaśnie wielmożnego dygnitarza. Powyższa zbrodnia stwierdzoną jest zgodnie przez świadków, jeżeli nie naocznych, to jednak mogących być dobrze o tym wypadku poinformowanymi. Wszystkie szczegóły przez jaśnie wielmożnego marszałka opowiedziane, a tyczące się rysopisu tego zbrodniarza, zupełnie są zgodne z rysopisem Malińskiego, co nie pozwala wysokiej komisyi do rozstrzygania przestępstw i zbrodni politycznych wydelegowanej — wątpić, iż przed kratkami swemi widzi rzeczonego wielkiej wagi i niebezpieczeństw zbrodniarza!

— Potwierdź to oskarżenie własnem, dobrowolnem zeznaniem i podpisem własnoręcznym — rzekł prezes.

Jeden z przytomnych sędziów podszedł do Malińskiego, uderzył go zlekka po ramieniu i rzekł:

— Radzę ci, przyjacielu, nie stawić żadnego oporu, to cię jedynie może wybawić z niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdujesz.

— Panie prezesie, oskarżenie, które usłyszałem, nie dotyczy mnie wcale, jestto zapewne prosta pomyłka i radbym ujrzeć świadków, którzy zarzucają mi zbrodnię, nie zostającą w żadnym ze mną związku.

— Co, ty śmiesz nam to mówić?! Odważasz się wskazywać, jak mamy pełnić nasz obowiązek, ty... ty... ty ohydny zbrodniarzu, ty śmiesz, a tego już za wiele; miałem do czynienia z wielu więźniami, lecz tak zuchwałego...

— Ja tego nie wiem i powtarzam raz jeszcze panu prezesowi i wszyskim obecnym sędziom, że uczyniony mi zarzut jest niesłusznym.

— Młodzieńcze! — zawołał prezes z teatralnem uniesieniem — młodzieńcze! pełen dla kraju nadziei, pełen świetnej przeszłości! Dwie drogi są przed tobą, albo — albo — jesteś w tej chwili panem swej sytuacyi. Mamy tak przekonywujące dowody, że zamach, wymierzony na osobę marszałka, jest twoją, a nie czyją inną sprawką, że dalsze badanie w tej mierze, byłoby zbyteczne i niepotrzebne. Nie chodzi nam też o to wcale, bo jak powiadam, jestto fakt, nieulegający żadnej wątpliwości. Wiesz, co za to cię czeka. Lecz ten pan nasz najmiłościwszy (to mówiąc, wskazał na portret cara) jest tak w miłosierdziu swojem i łaskawości niewyczerpanym, że jeżeli, o czem nie wątpić, pan marszałek dopomoże własnem wstawieniem się, a my ze swej strony uczynimy przedstawienie — to gotów ci wybaczyć nawet tak wielkiej doniosłości zbrodnię. Ale jest tu jeden warunek, oto wyznaj szczerze, otwarcie, z godną ciebie szlachetnością, kto cię nakłonił do tego smutnego postępku? kto podał broń i polecił wykonać tak okropny zamach? Zastanów się, młodzieńcze, daję ci chwilę do namysłu, rozważ swoje położenie — wreszcie jesteśmy sami, nikt nas obcy nie słyszy, możesz mówić śmiało. Znając twoją przeszłość, z której samej tylko poczciwości i cnoty mamy dowody, nie podobna przypuścić, abyś sam odważył się na czyn tak karygodny. Nie, nigdy ja temu, widząc ciebie, nie mogę wierzyć; wzniosłe twoje serce, pobożne sumienie brzydzi się skrytobójstwem. Wreszcie, nietylko zdrowy rozsądek tego naucza, lecz pewne przekonywają wskazówki. Wierz mi, że wszystkich tych, co sami śmiałości nie mając, ciebie zdemoralizowali i do tego nakłonili, już mamy tam, pod 14-tym numerem, siedzą w obrączkach, i bądź pewien, że w każdym razie ulegną zasłużonej karze. Twoje milczenie pogorszyłoby tylko ich położenie, pozwalając przypuszczać, że jeszcze inna zbrodnia na nich ciąży, jeżeli ukrywasz to, o czem już dokładnie wiemy. Podług tego, co z nich powiesz, będziemy wnioskować o twojej szczerości, uważając, czy słowa te są zgodne z tem, co wiemy zkąd inąd. Mów więc, zacny młodzieńcze, słucham cię nie jak sędzia, lecz jak ojciec, pragnący marnotrawnego syna znowu na łono rodziny powrócić i do serca swego przycisnąć!

— Panie prezesie, nie mogę wymienić wspólników tej zbrodni, do popełnienia której wcale nie należałem.

— Czy ciągle zachowasz takie milczenie?

— Będę milczał o tem, o czem nie wiem.

— Doprawdy?!

— Powiedziałem, że jestem niewinnym.

— Czy być może?

— Tak jest.

— No, jeżeli prośby nie czynią na tobie właściwego skutku, jeżeli nie umiesz cenić środków łagodności, to z boleścią serca muszę użyć innego sposobu.

— Storoż, padać siuda pałok!

Czas jakiś trwało milczenie, i była cisza w tej sali jakaś — głucha, posępna, złowieszcza. Po kilku minutach wszedł stary inwalid z giętkiemi kijami w ręku, i czekając rozkazu, stanął przy drzwiach sali.

Obecni sędziowie szczerym uśmiechem dali znak zadowolenia. Z ciekawością przypatrywali się i czekali, co dalej nastąpi, nie biorąc jednak tym razem — nie wiem dla czego, czynnego udziału w toczącej się sprawie. Może nie byli pewni siebie w tak ważnym przypadku — może przeświadczeni o zupełnej bezzasadności obwinienia, nie byli tak bezczelnymi i sprytnymi w indagacyi, jak prezes. Nie wiem tego i nie chcę badać psychologicznie, wiem tyle, że widok pierwszego lubo słabego stopnia tortur, zrobił na nich nader miłe wrażenie. Co będzie dalej, wszyscy czekają i zwrócili się do prezesa.

Prezes potoczył wzrokiem po obecnych, jakby kogo szukając. Wiadoma szpakowata figurka wysunęła się znowu naprzód.

— Czyby nie można, jaśnie wielmożny prezesie — rzekł on — wstrzymać tego surowego rozkazu; pragnąłbym podług możności przyczynić się do załatwienia tej sprawy w sposób inny. Darujcie, że koleżeńskie uczucie bierze udział tam, gdzie tylko surową sprawiedliwością i prawem chcecie się powodować. Pozwólcie przemówić do niego po przyjacielsku.

— Panie Maliński, miły kolego, po co przed zaufanymi ludźmi, ojcami rodzin taisz to, coś wyrzekł wczoraj przed przyjacielem.

— Cóżem wyznał?

— Wiesz bardzo dobrze. Wszakże szczegółowo opowiedziałeś mi, jakim sposobem dostałeś się do mieszkania Domejki i...

— Kłamiesz, podły szpiegu — zawołał w najwyższem oburzeniu Maliński.

— Co, co, co, ja szpieg?

W tym momencie siedzący przy stole pułkownik wstał, podbiegł do więźnia i z całej siły uderzył go w twarz.

Zawrzała polska krew w młodzieńcu, zapomniał on o wszystkiem — zapomniał gdzie się znajduje i jak młody lew, czujący swoją dumę, skoczył na pułkownika, zamierzył się, chciał uderzyć, lecz brzękły tylko ciążące na rękach kajdany; nie tracąc jednak czasu, trącił tak silnie pułkownika o stół — że stół ledwo się w kawałki nie rozleciał, a pułkownik ze szlifami swemi padł jak długi.

W sali powstało ogólne zamieszanie; wszyscy powstawali i podbiegli do więźnia.

— Hej, rabiata, siuda! — krzyknął wstający z podłogi pułkownik, przywołując na pomoc żołnierzy.

Ale w tejże chwili nogi więźnia zaplątały się w długi łańcuch i upadł. Żołnierze przyskoczyli i zaczęli leżącego

kolbować — a sędziowie pięściami bili go po głowie; — nawet stary inwalid, bez rozkazu uznał za konieczne, bić Malińskiego temi pałkami, które kazano mu przynieść.

Kwadrans pastwili się nad tą ofiarą, dopókąd nie zbili go do zupełnego osłabienia. Leżał w tem położeniu jakiś czas, następnie przeniesiono go do przedpokoju.

Posiedzenie dzisiejsze komisyi śledczej, w którem na porządku dziennym była tylko sprawa Malińskiego, stało się faktycznie zamkniętem.

Prezes rzekł:

— O taki to ptaszek, nie wiedziałem. — I kazał dozorcy więzienia, żeby przez trzy dni nie dawano temu więźniowi nic jeść, oprócz śledzia. — Zdaje się, że to pomoże na jego upór.

Maliński leżał aż do piątej po południu, dopiero o tej godzinie odprowadzono go napowrót do więzienia. Tego dnia nie miał nic w ustach oprócz szklanki wody — o, jakże by cenił tę wodę i po kropelce ją zbierał, żeby wiedział, co go czeka.

IV.

Dzwoneczek przy kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej słodkim jak spokój modlitwy i srebrzystym głosem wzywał pobożny lud wileński na wieczorną litanię. Pogodny i cichy był wieczór letni. Złotawe promienie chylącego się do zachodu słońca opromieniały odsłoniony w czasie litanii cudowny obraz Matki Zbawiciela — tej tyloletniej opiekunki Litwy. Kto się przypatrywał z bliska temu obrazowi, mógł dośledzić, że prawe oko odmalowane tak, jakby było płaczące. Światło słońca, wpadające przez otwarte szklanne podwoje kaplicy, otoczyło tę łzę perłową. Płakała orędowniczka nad losem ludu, zostającego pod Jej bezpośrednią opieką. O, kiedyż dziś jeczący przed Ostrą Bramą mieszkańcy Litwy przyniosą zwycięzki sztandar z białym orłem i pogonią, by złożyć go i poświęcić przed Tą, w której cuda tak święcie wierzą! Kiedyż cud ten nastąpi! — Jest to prawdziwie poetyczny widok, gdy tysiące ludu każdodziennie rano i wieczór klęcząc na całej ulicy, ze wspólnem uczuciem napełnionych serc wygłaszają harmonijnem, cichem, prosto do nieba płynącem pieniem — litanią. Tu cała ulica zamienia się w jeden kościół, przedstawiając widok wspaniały. I teraz lud ten modli się pobożnie, owszem teraz najwięcej w modlitwie szuka ukojenia. Litania zwykle trwa krótko; już się skończyła, już pobożni różnobarwną falą płyną na powrót.

Między powracającymi postępowała znajoma nam rodzina szewców z ulicy Subocz. Wincusia nie posłuchała głosu rozpaczy, zamiast iść topić się do Wilii, chodzi ona na litanią do Ostrej-Bramy i stary ojciec pokrzepiony wiarą żony, niesie książkę do nabożeństwa, towarzysząc swej rodzinie, i on, ten wczoraj chwilowy niedowiarek, znowu się nawrócił i dał się namówić, by pójść na litanią.

— No, jakże nasi? — zapytał szewc, spotkawszy kolegę, drugiego rzemieślnika, który też wracał z nabożeństwa.

— A chwalić Pana Boga, z Wilna wczoraj wyszli pomyślnie i doszli do lasów, a tam i sam czart ich nie dogoni.

— Oj, czemuż ja nie mam synów!

— Ja wczoraj dwóch wyprawiłem, niech walczą w Imię Boże.

— Ja choć buty dla pięciu zrobiłem.

— I ja dałem dla czterech.

— Idźcie, żono i ty Wincusiu, przejdźcie się, nim ja wrócę do domu, trochę tu się zatrzymam i wstąpię do kolegi na pogadankę.

Kobiety oddaliły się i podążyły spacerem przez Ostrobramską, Wielką, Zamkową ulicę, a koło katedry zwróciły się w stronę Antokola, jakby przeczuciem wiedzione, bo w tymże czasie wyprowadzili z komisyi śledczej Malińskiego.

Spotkanie dwóch kochanków było i miłe i bolesne.

— To Jaś! — pierwsza wykrzyknęła Wincusia.

— To Wincusia — szepnął z cicha osłabiony więzień, lecz snadź odezwanie się to było dla eskortujących go żołnierzy za głośne, bo jeden jakby na domiar tych razów, które dziś wycierpiał Maliński — nielitościwie trącił go jeszcze raz kolbą.

Wincusia jęknęła, a więzień z niemym spokojem postępował dalej, aż dobrnął wreszcie do swojej jamy, padł na słomę i leżał tam nieprzytomny. Mąciło mu się i w głowie i w sercu.

V.

Nie godzi się dzisiaj, gdzieindziej zwróconą czytelników uwagę zaprzątać drobiazgami miłosnemi. Nie do romansów nam teraz. Tą myślą kierowany, postanowiłem w krótkości tylko opowiedzieć pierwsze poznanie się Malińskiego z jego ukochaną Wincusią, tą nieszczęśliwą ślicznotką i perełką dziewic wileńskich.

Wiemy już z własnego opowiadania Malińskiego, iż on przebywszy wiele cierpień, wiele różnych kolei, dostał się wreszcie do pewnego cukiernika na Zamkowej ulicy i tam rozpoczął zatrudnienie, lubo nie odpowiednie jego umysłu przymiotom, dające jednak poczciwie zapracowany kawał chleba. Z początku dziwno mu jakoś było przyrządzać ciasta i cukierki, jemu, który dotąd z książką miał tylko do czynienia, ale później z tem się oswoił i wykierował się na zręcznego cukiernika. W wolnych chwilach od pracy, gospodarz, który był człowiekiem wykształconym i mającym jaki taki księgozbiorek, pozwalał Malińskiemu czytywać książki.

Wolę stokroć takiego subjekta, co książki czyta, chociażby nawet romanse, niż takiego, który codzień się upija.

Miał zupełną słuszność ten jegomość, który tem się różnił od wszystkich cukierników, że nietylko sam nie pił, ale nawet brzydził się opilstwem i był gorliwym propagatorem pomysłu wstrzemięźliwości, już od dawna na Litwie szerzonego. Przy takim człowieku dobrze było naszemu młodzieńcowi, umieli oni na wzajem cenić swoje przymioty.

Zapomnieliśmy powiedzieć, że Maliński oprócz czytania, także pisał, co więcej tworzył, ale zgadnijcie co: ręczę, żeście się już domyślili, że wszystkie wierszyki od cukierków — w owej instytucyi, były płodem jego pióra. Później, gdy się bliżej poznał ze swoją oblubienicą, przyniósł jej raz cukierek z własnego pomysłu wierszykiem, w którym w sposób rzewny, choć na cukierku, zrobił dość zręczną aluzyą do swej miłości i do lubci Wincusi.

Nie przypominam sobie w tej chwili tego wierszyka; wreszcie to było po upłynieniu pewnego czasu, od zawarcia pierwszej znajomości. Pierwsze spotkanie się, to najważniejsze i najbardziej decydujące zetknięcie się dwóch dusz, sympatycznem uczuciem powiązanych — odbyło się w sposób następujący. Pewnego razu, a było to jeszcze w kwietniu tego roku, staruszka szewcowa poszła ze swą córką do katedry na nabożeństwo; wracając przy zakręcie Wielkiej ulicy koło sklepu Fioryntyniego, spotkały nieznajomego jeszcze podówczas Malińskiego, który szedł w kierunku ulicy Zamkowej i niósł z pobliskiego sklepu funt migdałów, do cukierni potrzebnych. Jaś i Wincusia spojrzeli na siebie tak wymownym wzrokiem, że sądzę, iż takiego wejrzenia promiennego duszy żadne pióro oddać nie potrafi. Sami nie wiedzieli, dla czego tak patrzą; — po chwiliominęli się, i każde poszło w swoją drogę. (C. d. n.)

PAŁAC I TEATR.

Powieść z angielskiego.

7) Tłom. **S. P.**

(Ciąg dalszy).

Głos pani Fairfax silnem drżał wzruszeniem i w oczach jej błysnęły łzy. Przez chwilę głęboka zapanowała cisza. Nora wpatrywała się w portret matki nieszczęśliwego młodzieńca; śmierć zabrała ją litościwie, nie pozwalając doczekać się tragicznego zgonu syna. Ale twarz jej przypominała Norze kogoś — nie mogła sobie tylko przypomnieć na razie kogo! Wielkie, ciemne oczy zmarłej hrabiny Elsdale zdawały się patrzeć na nią i uśmiechać się do niej, jak do dawnej znajomej.

Ostatnie miejsce w długim szeregu portretów zajmował obraz drobnego, delikatnego chłopczyka w czarnej aksamitnej sukience i białym, koronkowym kołnierzu. Obok tego portretu puste było miejsce.

— Mały lord Hatton, — rzekła pani Fairfax, — syn drugiej żony hrabiego. — Biedak słabowity był zawsze, a śmierć matki tak głębokie na nim wywarła wrażenie, że gdy zachorował na tyfus, nie miał już dosyć sił na zniesienie tej choroby!

— Biedne dziecko, — szepnęła Nora z współczuciem. — Stryj bardzo musiał śmierć jego odczuć, wszakże tego syna kochał — nieprawda?

— Więcej, niż siebie, niż świat cały! Był on ostatnią jego nadzieją, ostatnią podporą wymierającego rodu. Myśleliśmy wszyscy, że milord tej straty nie przeżyje!

— Chłopczyk umarł przed dwoma laty?.....

— Przed trzema! — poprawiła pani Fairfax.

— Czyj portret wzięto ztąd? — spytała Nora, wskazując na opróżnione miejsce.

— Starszego syna hrabiego.

— A gdzie został umieszczony?

— W pokoju zmarłej hrabiny, jego matki. Pokój ten mieści najdroższe dla hrabiego pamiątki. Kochał on tak bardzo pierwszą swoją żonę, że od lat trzydziestu nic w pokojach jej zmienionem nie zostało — wszystkie meble są tak ustawione, jak za jej życia — prócz mnie zaś i milorda nikt tam nie wchodzi!

Nora nie przypuszczała nigdy, aby zimny i wyniosły stryj jej był zdolnym do takich uczuć!

— Nie pokazałaś mi pani jeszcze portretu mego ojca, — rzekła nagle.

— Nie posiadamy go wcale, miss Noro, — odrzekła klucznica, myśląc o chwili, w której obraz ten został na rozkaz obecnego lorda usuniętym z galeryi.

— Szkoda, byłabym chętnie chciała widzieć twarz jego! Powiedz mi pani przynajmniej, czy jestem podobną do niego? Przecież musisz pamiętać Lionela Hattona!

— Zapewne, ale zaręczam uroczyście, że nie jesteś wcale do niego podobną!

— Doprawdy? Nie może być! Przecież wszyscy mówią, że do matki mej też nie jestem podobną, że oddziedziczyłam po niej tylko kolor włosów i oczu!

Byłaby teraz chętnie cofnęła te słowa i zarumieniła się z gniewu na samą siebie. Wspomnienie skromnej aktorki wśród strojnych i dumnych arystokratek zawstydziło ją mimowoli. Dziś więcej niż kiedykolwiek byłaby chciała zapomnieć o przeszłości.

— A jednak do ojca wcale podobną nie jesteś, miss Noro, — powtórzyła pani Fairfax. — Nie przypominasz wogóle nikogo z całej tej galeryi!

Nora milczała i poszła dalej. Na końcu galeryi znajdowało się wysokie, weneckie okno, przez którego szyby widać było — w niewielkiem oddaleniu wieże i wieżyczki średniowiecznego zamku, odcinające się na tle szarego nieba ponad drzewami parku.

— Co to za miejscowość? — spytała Nora.

— Firholme!

— Ah, więc zamek ten jest......

— Firholme-Hall, własność lorda Keith, — dokończyła pani Fairfax, patrząc badawczo na piękną twarz dziewczęcia.

— Nie wiedziałam, że to tak blizko, — rzekła Nora niedbale. — Spotykałam dosyć często w Londynie lorda Keith i w Paryżu. Znasz go pani dobrze?

— Od małego dziecka! Wychowywał on się prawie razem z lordem Hattonem, matki ich przyjaźniły się także, a chociaż z śmiercią naszego panicza zmieniły się stosunki, to on teraz jeszcze przyjeżdża często do nas, i przychodzi do mnie na chwilę rozmowy!

— To pewnie bardzo dumny człowiek, — szepnęła Nora, bawiąc się nerwowo koronkami sukni. Na pytaniu tem zależało jej tak wiele, że zapomniała na chwilę o formach arystokratycznego świata i zwróciła się z zapytaniem do — klucznicy!

— O, nadzwyczaj! — odrzekła pani Fairfax. — Wszyscy Keithowie bardzo są dumni, ale przytem szlachetni i zacni ludzie! Lord Robert nie szczyci się tyle majątkiem, ile starożytnością rodu, a mianowicie tem, że na długich jego dziejach nie ma ani jednej plamy, żadnej niesławy i hańby. Żony ich pochodzą równie z wysokich rodów i są równie szlachetne i uczciwe kobiety. Lord Robert bardzo jest dobrym człowiekiem, Firholme zaś zalicza się do pierwszych w kraju rezydencyj!

Nora odwróciła się szybko od okna, a serce jej zaczęło uderzać gwałtownie pod wpływem sprzecznych uczuć radości, trwogi i dziwnego niepokoju. Czy lord Robert wiedział o jej pochodzeniu? Czy historya jej lat dziecięcych potrafi przytłumić miłość w jego sercu, czy też dumny magnat poświęci miłość dla niesplamionej dotąd tarczy herbowej? Myśl ta zbudziła ją do świadomości własnych uczuć — uczuć, na które dotąd nie zwracała uwagi. Rumieńce i blask oczu zdradzały tak wyraźnie to, co się w sercu jej działo, że pani Fairfax zaczęła już w duchu układać szczegóły ślubu, mającego się podług jej zdania, odbyć wkrótce, w zamku Elsdale.

A jednak, gdyby była mogła przewidzieć to, co się w zamku dziać będzie, byłaby się przestała uśmiechać

i układać świetne plany przyszłości. Serce wiernej sługi strasznym byłoby się ścisnęło bólem — lecz dziś zdawało się wszystko zapowiadać radość i szczęście.

ROZDZIAŁ VIII.

— Zrozumiałaś mnie, Noro?

— Tak jest! Słowa twe, stryju Normanie, aż nadto są wyraźne!

Obydwa głosy brzmiały chłodno i wyniośle — stryj i bratanka stali naprzeciw siebie, oboje hardzi i nieugięci.

Późna jesień roztoczyła już swe panowanie nad ziemią. Rychło było jeszcze, lecz na biurku lorda paliła się już lampa, zielonym przysłonięta daszkiem, resztę zaś pokoju oświecał fantastycznie ogień na kominku, rzucając jasne promienie na szafy, pełne książek, na głębokie, ciemnym aksamitem pokryte fotele i na wysmukłą postać Nory, ubranej w jasno błękitną jedwabną suknię, od której odbijała ślicznie jasna główka i biała, kapryśna twarzyczka. Ale modre oczy płonęły teraz gniewem i czerwone usta silnie były zaciśnięte.

Lord Elsdale spojrzał na młodą dziewczynę i czoło jego gniewnie przed chwilą zmarszczone, wypogodziło się na widok pięknej bratanki, która mu na nowo opromieniła życie.

— W takim razie nie potrzebuję cię odrywać dłużej od twoich gości, — rzekł siadając przy biurku. — I tak pewnie za wiele zająłem ci czasu?

— Jestem tu niespełna pięć minut, — odpowiedziała Nora, — goście więc mogą się jeszcze obyć bezemnie. Nie wszyscy są nawet w salonie. Może zechcesz mi poprzednio jeszcze pokazać list, o którym mówiłeś, stryju?

— W jakim celu? Racz przypomnieć sobie, że dla tego właśnie bawiliśmy tak długo za granicą — przeczuwałem bowiem, że mając cię raz tutaj, będą natychmiast usiłowali odnowić znajomość i dawne zawiązać stosunki!

— Ale nie możesz powiedzieć stryju, aby obawy twe były się sprawdziły!

— A czegóż dowodzi list, który mi Hobson oddał na szczęście?

— Pan Hobson dopuścił się wielkiej niedelikatności!

— Nie — spełnił tylko mój rozkaz!

— Ale ten list był do mnie adresowanym, — drżącym z oburzenia zawołała głosem.

— Tak, lecz Hobson poznał od razu jego pismo.

— Jakim sposobem? Przecież nie znał go poprzednio!

— Mylisz się! Ja sam pokazałem mu je, prosząc, aby spamiętał sobie ten charakter...

— Ależ stryju, — zawołała Nora, podnosząc na niego modre oczy z wyrazem wielkiego zdumienia, — przecież nie korespondowałeś z nim nigdy?

— Owszem, — odrzekł zimno — raz jeden korespondowaliśmy z sobą. Posłałem temu... temu... jak on się tam nazywa, czek na dość wysoką sumę — on zaś raczył mi go odesłać przedarty, i... Co ci jest, Noro? czy ci słabo? Może zadzwonić na garderobianę, albo na panią Fairfax?

Nora stała blada jak ściana z nerwowo przyciśniętemi rękami i drżała jak w gorączce.

— Co, stryju... tyś mu chciał — zapłacić? — szeptała zbielałemi ustami.

— Zapewne! Czy myślisz, że chcę nakładać na siebie, albo na ciebie dług wdzięczności względem prostego aktora o nizkiem pochodzeniu? Wprawdzie ośmielił się zwrócić mi czek, lecz niech się strzeże! Zniewagi takiej nie zwykłem wybaczać!

— Nic dziwnego, że ci go odesłał! — zawołała Nora gwałtownie. — Takiego długu, jaki zaciągłam względem niego, nie opłaca się pieniędzmi. I tyś się nie — wstydził — stryju, posyłać mu czek? — dodała nie namyślając się nad tem, co mówi. — To nie on, tylko ty dopuściłeś się zniewagi!

— Mylisz się Noro, a przytem wyrażasz się trochę niestosownie — odrzekł lord Elsdale surowo. — Różnica w naszych stanowiskach społecznych jest tak wielką, że...

— Że powinna cię była natchnąć poczuciem delikatności, — wybuchnęła namiętnie. — Aktor ten jest przedewszystkiem człowiekiem szlachetnym...

— Nie twoja rzecz sądzić o tem! Że względem ciebie postąpił szlachetnie, temu przeczyć nie myślę i dla tego właśnie chciałem mu to w odpowiedni sposób wynagrodzić. Pieniądze zwalniały mnie z wszelkich zobowiązań...

— Ty stryju nie masz żadnych, — przerwała, — ty mu nic nie jesteś winien. Ponieważ jednak dług zaciągnęłam, przeto będzie miał prawo przypuszczać, że odemnie również pochodziła zniewaga!

— A chociażby i myślał tak, cóż ztąd? — zauważył hrabia spokojnie. — Drogi wasze rozeszły się na zawsze, zdanie więc owego pana mało cię powinno obchodzić! List ten był conajmniej zbyteczny, chociaż nie dziwię się, że pragnie odzyskać wpływ nad tobą — dzisiejsze stanowisko twoje...

— Ach stryju, — przerwała żywo, — nie znasz Geralda! Ale proszę cię, — dodała błagalnie, — daj mi ten list — pozwól mi go przynajmniej przeczytać, może kto z nich zachorował, może ich jakie dotknęło nieszczęście — nie zapominaj stryju o tem, jacy oni dobrzy byli dla mnie!

Wyciągnęła do niego białe, delikatne rączki z pokorą, a twarz pod wpływem serdecznej prośby, straciła wyraz gniewu i dumy. Widać jednak było, że piękna ta dziewczyna, której tak prędko nauczono próżności światowej, nie była zupełnie pozbawioną serca. Hrabia patrzał na list, leżący na biurku i wahał się, lecz Nora prosiła dalej:

— Przyznaj stryju, że byłam ci zawsze posłuszną! Na rozkaz twój zerwałam z przeszłością — nie poświęciłam moim opiekunom ani jednej myśli, jeżeli więc pomimo czarnej z mej strony niewdzięczności piszą jeszcze do mnie, to tylko jeden dowód więcej szlachetności, z jaką mi winy moje przebaczają!

— Jesteś dziecinną, Noro, — rzekł hrabia niezadowolony, myślałem, że w dzisiejszem twem położeniu i wobec wyższego jeszcze stanowiska, jakie ci zapewne wkrótce przypadnie w udziale, zrozumiesz sama, że podobne uczucia są szaleństwem. Lord Reith pewnie by...

— Uczuł dla mnie pogardę, gdyby się całej dowiedział prawdy! — zawołała z gorzkim uśmiechem. Samolubna niewdzięczność nie należy chyba do przymiotów, poszukiwanych w żonie, a zresztą nie wiem, czy on wogóle myśli o mnie...

— Czy myśli o tobie? — powtórzył hrabia rozdrażniony. — Moja Noro, nie wiesz sama, co mówisz! Powiedziałem ci przecież, że Robert przed trzema tygodniami prosił o pozwolenie starania się o ciebie. Jeżeli ci się jeszcze nie oświadczył, to nie z powodu wątpliwości, jakieby może inny miał mężczyzna, tylko jedynie dla tego, że umyślnie nie dajesz mu sposobności do ostatecznej rozmowy.

Nora oparła się mocniej o stół, przy którym stała.

— Powiedziałeś mu stryju... — szepnęła, — o... o... mojej — matce?

Naturalnie! Było to moim obowiązkiem. Wyznałem mu całą prawdę. Myślałem, że cofnie prośbę i nie byłbym mu tego miał za złe — ale odrzekł, że nazwisko ojca twego wystarcza. Winszuję ci szczerze, droga Noro głębokiego uczucia, jakie potrafiłaś wzbudzić w zacnem jego sercu!

Powiedziawszy te słowa podał jej hrabia rękę, którą dziewczę do ust przycisnęło. Ale piękna twarzyczka nie rozjaśniała się.

— Daj mi ten list, stryju! — szepnęła Nora znowu po chwili.

Hrabia cofnął rękę z ruchem niezadowolenia i gniewu.

— Utrzymywanie jakichkolwiek bądź z nimi stosunków, jest dla ciebie niepodobieństwem, — rzekł stanowczo.

— Uspokój się stryju, oni sami nie będą chcieli mieć ze mną do czynienia, — rozśmiała się przymusowo.

— Fakta zaprzeczają temu, — zawołał wskazując na list.

— Stryju Normanie, — błagała pokornie, — pokaż mi go przynajmniej!

— Dobrze, ale pod warunkiem, że nie odpiszesz!

— Przyrzekam! I zdaje mi się, że nie wątpiłeś nigdy o mojem słowie.

— Radziłbym ci większy spokój w zachowaniu się,— zauważył hrabia ostro. — Rzecz to niezbędna dla kobiety dystyngowanej.

Nora podniosła główkę i wzięła z rąk stryja tak gorąco pożądany list. Pomna co dopiero otrzymanej nagany, nie wybiegła z zdobyczą, tak, jakby tego była pragnęła, do swego pokoju — wolno, z wdziękiem królowej zbliżyła się do kominka i usiadła na nizkim taborecie, tuż przy ogniu. Lord Elsdale, patrzący na nią uważnie, musiał przyznać w duszy, że nigdy nie wydała mu się tak piękną jak w tej właśnie chwili, gdy zimną jej i wyniosłą zwykle twarz, opromieniało głębokie, serdeczne wzruszenie.

Otoczona czerwonym blaskiem płomieni, rozłożyła arkusz. Nie był to list właściwie — na jednej tylko bowiem stronie widniała data dnia wczorajszego, a poniżej słowa:

— Najszczersze życzenia szczęścia na przyszłość.

— Gdybym nawet chciała, — rzekła wstając i oddając hrabiemu list, — nie mogłabym mu odpowiedzieć. Przecież adresu wcale tu nie ma!

Hrabia spojrzał na arkusz.

— Zdaje mi się, — zauważył z pogardliwym uśmiechem, — że dałby lepszy dowód przyjaźni pozwalając ci zapomnieć o przeszłości, która nie może mieć dla ciebie miłych wspomnień. Wierzaj mi Noro, że będziesz o wiele szczęśliwszą, gdy przestaniesz myśleć o tym człowieku! Ale teraz nie chcę cię zatrzymywać dłużej.

Hrabia wstał, otworzył drzwi i stał przy nich z rycerską uprzejmością, dopóki Nora nie przeszła. Wytworność taka starego mężczyzny względem młodej dziewczyny, była wzruszającą. Nora uśmiechnęła się, skinęła głową i znikła za ciężką, adamaszkową portyerą.

Gdy weszła do rzęsiście oświetlonego przedsionka, stanęła na chwilę przy oknie i zamyślona patrzała na bezlistne drzewa przed pałacem.

Rozpoczął się sezon polowania, zgromadziło się więc mnóstwo osób w Elsdale, tak, że młoda jego pani, przyzwyczajona już do rządzenia magnacką tą siedzibą, nie wiele dla siebie miała czasu. Pomimo, że panowie spędzali całe prawie dnie na strzelaniu do bażantów i kuropatw, było jednak jeszcze kilku, którzy woleli towarzystwo pięknych kobiet, niż męczące wycieczki po lasach i polach. Woleli wesoły śmiech, dowcipne rozmowy i flirt niż odgłos strzałów, a panie wdzięczne im za to były, bo się same nie nudziły.

Nora wypełniała znakomicie obowiązki gospodyni domu. Uprzejma, gościnna, a przytem spokojna i pewna siebie zachowywała się tak, jak gdyby całe życie spędzała w Elsdale. Piękna, strojnie i wytwornie ubrana, zachwycała wszystkich, chociaż niektóre panie twierdziły, że w mieście ubierała się lepiej, stósowniej do wieku. Tutaj w poważnych salonach, nosiła stosowne tualety — ciężkie aksamity, jedwabie i prawdziwe stare koronki. Suknie te były niezmiernie kosztowne, chociaż rzeczywiście nie zupełnie stósowne dla młodej, dwudziestoletniej dziewczyny.

Patrząc na jej wdzięk i dar jednania sobie ludzi, pragnął stary hrabia gorąco, aby to była jedyna u niej po bracie jego spuścizna. I rzeczywiście, zdawało się, że nic więcej po nim nie odziedziczyła.

Pomimo jednak świetnego otoczenia, nie czuła się Nora zawsze szczęśliwą. Bogactwa, których tak niegdyś pragnęła, zbytek i przepych, do których wzdychała — wszystko to nie wystarczało jej dziś już do zapełnienia życia. Poznała ona, że pieniądze i tytuły nie są zdolne do zapewnienia szczęścia, a przerażona czczością, jaka często ogarniała jej istotę, zwróciła się z całą gwałtownością gorącego temperamentu do jedynego, ofiarowanego jej dziś uczucia, to jest do miłości lorda Keitha, która ją już to szczęściem już to jakąś dziwnie bolesną przejmowała obawą. Pragnęła jej i lękała się zarazem i uważała ją raz za najwyższe szczęście, raz za klęskę całego swego życia!

Wiadomość, że stryj uwiadomił lorda Keitha o nizkiem pochodzeniu jej matki, wstrząsnęła do głębi duszą dziewczęcia. Chciała wprawdzie zakończyć fałszywe względem niego położenie, czuła teraz jednak aż nadto dobrze, że w obecności jego nie może się już z pogardą wyrażać o innych i nie może okazywać tyle dumy jak dawniej. Zdawało jej się także, że straciła nieco na dobrem pojęciu, jakie miał o niej, i że jako człowiek prawego i szlachetnego charakteru musiał ją potępić za niewdzięczność okazaną tym, którzy zastępowali jej rodziców.

Bywały chwile, w których wspomnienie dawnego życia nienawistnem jej się stawało; wtedy pragnęła zapomnieć o matce, pracującej ciężko na chleb i pragnęła wymazać z pamięci wspomnienie człowieka, który odmawiał sobie wszystkiego, aby dać jej wykształcenie i wszystkie zadowolić kaprysy. Ale chwile te stawały się coraz to rzadsze. Nora wyrzucała sobie gorzko swoją niewdzięczność i byłaby dała niewiedzieć co za to, gdyby była miała sposobność naprawienia złego.

Krótki list Geralda, wyrażający przebaczenie, został przecież wnet zapomnianym w obec faktu, że lord Keith wiedział o matce aktorce, i że pomimo to nie cofnął prośby o rękę jej. Szczęśliwa, rozmarzona, osunęła się na fotel i w rozkosznej pogrążyła się zadumie.

Zajęta wyłącznie myślami o lordzie Keith, nie zdziwiła się wcale, gdy kilka minut później stanął przed nią przedmiot jej marzeń. Oboje wiedzieli, że chwila ta rozstrzygnie ich całą przyszłość.

Nora siedziała z spuszczonemi oczami. Twarz jej opromieniał łagodny wyraz dziewczęcej nieśmiałości — nie było na niej ani śladu zwykłej dumy i wyniosłości.

— Może przestraszyłem panią? — szepnął, pochylając się ku niej.

— O nie! Nie zlękłam się wcale.......

— Jesteś pani tu samą.....

— Tak!

— A gdzie reszta towarzystwa?

— Odpoczywa. Panie zmęczone są przejażdżką na zimnem powietrzu.

— Myślałem, że naradzacie się państwo nad przedstawieniem amatorskiem......

Spojrzenie towarzyszące tym słowom zdradzało wielkie zadowolenie, że narada ta nie odbywała się teraz!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wśród walki z losem.

31) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

— Gdy — gdy się urządzę w mem nowem mieszkaniu, napiszę do pana.

— Czy mogę liczyć na to?

— Tak — odpowiedziała — albo do pańskiej matki, to na jedno wyjdzie.

— Bez wątpienia — odrzekł niedbale — to zupełnie na jedno wyjdzie.

Postąpiła ku drzwiom a on otworzył je przed nią i podał jej rękę.

Na progu przystanęła osobliwa ta para i patrzała na siebie w milczeniu.

— Życzę panu przyjemnej podróży i polepszenia zdrowia.

— Dziękuję pani, jestem zdrów zupełnie.

— Matka uważa, iż panu potrzeba zmiany klimatu i nowych twarzy. Pan w swym dzisiejszym liście twierdziłeś tak samo.

— Czy go pani czytałaś?

— Nie.

— Wyjeżdżam w towarzystwie państwa Andison do Szwajcaryi — rzekł — czy matka moja nie powiedziała pani o tem?

— Nie — odpowiedziała — musiała mieć powód, że mi tego nie powiedziała.

— Nie wiem. Cóżby za powód mieć mogła?

— Ach, tak, domyślam się — rzekła po chwili — obawiała się, że przyjdzie mi chęć towarzyszenia Florze. Jakże się miewa Flora?

— Dziękuję pani, jest zdrowa.

— Obiecuje sobie zapewne przyjemną podróż. Bądź pan łaskaw kłaniać jej się odemnie i powiedzieć, że jej życzę jak najprzyjemniejszej podróży, gdybym jej przed odjazdem nie miała widzieć.

Podała mu rękę, którą on z uszanowaniem i głębokim ukłonem uścisnął. Ani jedno słowo więcej nie zostało wymówione. Lecz gdy się drzwi za nią zamknęły i on sam pozostał, padł na fotel znużony tą walką, jaką stoczył ze samym sobą i powinszował sobie, że z niej wyszedł zwycięsko.

Zaledwie Helena przestąpiła próg Temple, ujrzała się oko w oko z swymi przyjaciółmi z Hernley. Najchętniej byłaby im zeszła z drogi. Chwilę zawahała się, czyliby nie lepiej było wyminąć ich i skierować się w inną stronę, ale byli już zbyt blizko, a jedna z pań spostrzegłszy ten ruch, poznała ją i zawołała po imieniu.

Byli to Percy Andison z matką i siostrą, którzy przyszli odwiedzić Walentego.

— Helena! — zawołała Flora zbladłszy, jak ściana, a jej ciemno-szafirowe oczy patrzały na nią z wyrazem przerażenia.

— Mrs. Barklay! — zawołała lady Andison oglądając się na wszystkie strony — przecież pani nie sama?

— Jestem zupełnie sama.

— Ależ przecie mrs. Merrick — począł Percy.

— Nie ma jej ze mną.

— Ani garderobianej? ani nawet pańskiej garderobianej? — zawołała lady Andison w najwyższem zdumieniu, którego bynajmniej nie starała się pokryć.

— Ani nawet mej garderobianej — odpowiedziała Helena z zupełnym spokojem. — Miałam interes do mr. Merricka.

Flora nie odzywała się więcej: twarz jej pozostała bladą, a oczy przybrały wyraz twardy i surowy. Przy spotkaniu nie uścisnęły sobie nawzajem dłoni, a pożegnanie ich nie było serdeczniejszem od powitania. Helena zwróciła się do odejścia zimna i spokojna. Już się była z jakie sto kroków oddaliła, gdy nagle uczuła, że czyjaś ręka spoczęła na jej ramieniu. — Pójdę kawałek z tobą, Heleno — ozwał się łagodny głos Flory Andison tuż przy jej uchu. — Żałuję, że cię obraziłam.

Słowa te wymówione drżącym głosem świadczyły o dobrem sercu Flory Andison.

— Cieszę się, Floro, iż nie w ten sposób żegnamy się ze sobą — rzekła Helena, biorąc małą rączkę spoczywającą na jej ramieniu i wsuwając pod swoją — i że przynajmniej pomiędzy nami nieporozumienia niema. Ale co powie na to lady Andison?

— Mniejsza o to, co matka moja powie.

— Nie było ci przyjemnie, że odwiedziłam twego narzeczonego.

— Tak, prawda, nie mogłam sobie wytłumaczyć, coś tam robiła.

— Zaraz ci to powiem. Dla tego byłam w Temple, ponieważ mr. Merrick nie przychodzi do Richmond, a ja chciałam mu oddać pewien ważny dokument i zasięgnąć jego rady, ponieważ opuszczam Richmond i prawdopodbonie nie będę się z nim widziała. Sądzę, że to jest dostatecznem wytłumaczeniem.

— Zupełnie dostatecznem.

— Dla tego nie była ze mną mrs. Merrick, bo możeby mi chciała przeszkodzić, wiedząc, jak mnie syn jej nie lubi.

— Nie sądzę, Heleno, by Walenty miał cię nie lubić. Jestem przekonaną, że się mylisz.

— Powiedział mi sam dzisiaj, że jestem w błędzie i starał się być uprzejmym, ale nie bywa w Richmond, a ja wiem, że tylko dla tego, by się ze mną nie spotykać.

— Ależ — wtrąciła Flora, lecz Helena przerwała jej.

— Proszę, nie mówmy o tem więcej. Ani on, ani ja nic na tem nie stracimy. Przecież i tak niezadługo opuszczę Richmond.

— Lecz dla czego?

— Bo tak będzie najlepiej.

— Heleno — rzekła Flora nieśmiało — czy mi przebaczysz, jeżeli ci coś wyznam?

— Ciekawam, co ci takiego mam przebaczyć.

— O, powiedź, że mi przebaczysz, bo inaczej, nie będę miała odwagi powiedzieć ci tego — błagała.

Helena spojrzała z niepokojem w zakłopotaną twarz swej towarzyszki i spostrzegła, że oczy jej były łez pełne.

— Niema nic takiego, czegobym Florze Andison nie przebaczyła — odpowiedziała.

— To wszystko jest moją winą — zawołała Flora.

— Twoją winą? W czemże tu może być twoja wina? — spytała Helena z niedowierzaniem.

— Że Walenty nie bywa u swej matki. Ja tego żądałam od niego, ponieważ byłam zazdrosną o ciebie — mówiła, spuściwszy wzrok i zarumieniwszy się mocno. — Obawiałam się, by się w tobie nie zakochał, tyś taka piękna, a on tak był żalem przejęty za krzywdę, jaką ci wyrządził, dla tego żądałam od niego, by cię unikał.

— O, Floro! — zawołała Helena.

— Było to nierozsądnie i małodusznie z mej strony — mówiła łkając — ale postąpić inaczej nie miałam siły. Ja tak bardzo kocham mego Walentego, że się obawiałam utracić go, i tyle tylko powiedzieć teraz mogę, że mego postępku gorżko żałuję.

Helena szła chwilę milcząc, a potem zapytała:

— I kiedyż to było?

Flora zaczęła opowiadać, Helena zamyśliła się. To, co usłyszała, posłużyło tylko na to, by postępowanie Walentego uczynić jeszcze więcej zagadkowem. Począwszy bowiem od dnia urodzin mrs. Merrick, Walenty częściej, nakoniec prawie codziennie, przychodził do Richmond.

— W takim razie nie wiele mam do przebaczenia — rzekła po małej chwili, a potem nagle uśmiechnąwszy się, mówiła: Wszakże przysłowie mówi: „Gdzie niema zazdrości, tam niema miłości“.

— To jest mojem zdaniem bardzo mądre przysłowie — odrzekła Flora z głębokiem przekonaniem.

— I ty, Floro, uważałaś także, że niewłaściwie postąpiłam, narzucając się mrs. Merrick. Szkoda tylko, żeście mi tego we właściwym czasie nie powiedzieli.

— O, Heleno, widzę teraz, jak nizkim i samolubnym był mój sposób myślenia.

— Nie, Floro, ty nic nie widzisz — przerwała Helena. — Szukasz po omacku, jak ja, jak może on, i prędzej opaska nie spadnie nam z oczu, dopóki ja się nie oddalę. Bądź zdrowa, Floro, niech cię Bóg ma w swej opiece. — Uścisnęła jej rękę i odeszła spiesznie.

Gdy lady Andison i syn jej przybyli do mieszkania Walentego i weszli do jego pokoju, zastali go przy biurku. Siedział zamyślony z głową wspartą na rękach; powstał na ich przyjęcie, ale twarz jego nie okazywała wielkiej radości i pozostała poważną.

— Spotkaliśmy codopiero mrs. Barklay — ozwała się lady Andison z lekkim odcieniem goryczy. — Przyszliśmy umówić się z panem co do naszej podróży i bardzośmy się zdziwili spotkawszy w Temple mrs. Barklay; w istocie, bardzośmy się zdziwili.

— Zdziwiliście się państwo? Dlaczego? — zapytał Walenty.

— Że młoda osoba należąca do wyższego świata przychodzi sama do pańskiego mieszkania — odpowiedziała wyzywająco.

— Mrs. Barklay miała mi do oddania rzecz nader wielkiej wagi i dlatego zaszczyciła mnie swą bytnością — odpowiedział z powagą.

— Powinna była napisać do pana lub przynajmniej wziąć kogo ze sobą. Był to z jej strony krok w najwyższym stopniu nierozważny, najłagodniej się wyraziwszy. Prócz tego, sądzę...

— Przepraszam panią, lady Andison — przerwał jej prawie z gniewem — Helena Barklay jest przyjaciółką mej matki i osobą, dla której mam głęboki szacunek. Każde słowo przeciw niej powiedziane w mej obecności będę uważał za własną obrazę. Przykro mi, iż zmuszony jestem w ten sposób mówić do pani, lecz nierównie więcej żałowałbym, gdybym usłyszał choć jedno jeszcze słowo z ust pani, któreby powody bytności u mnie mrs. Barklay w wątpliwość podawało.

— Bardzo dobrze, mr. Merricku, będę milczała, skoro pan zapatrujesz się na to w ten sposób i skoro cię to obraża, że pozwalam sobie okazać me zadziwienie na widok osobliwego sposobu, w jaki mrs. Barklay załatwia swe interesa. Mimo to...

— Gdzie Flora? — przerwał jej Walenty, zwracając się do Percego.

— Flora pozostała na chwilę z mrs. Barklay — odpowiedział Percy.

— Spodziewam się, że ona przynajmniej — zawołał Walenty. — Lecz nie, — dodał — Flora jest zbyt dobra i rozsądna. Proszę, raczcie państwo zająć miejsca. Dobrze, że sir Charles dzisiaj przybędzie, możemy zatem jutro wyruszyć.

Tymczasem nadeszła Flora. Zaraz na wstępie poznała, co tutaj zaszło, znała bowiem bardzo dobrze charakter wszystkich trojga. Widząc, że matka jest w złym humorze, a Percy też nie weselszy, wybuchnęła potokiem pochwał dla dobrej, kochanej Heleny, z której spotkania niezmiernie się ucieszyła, starając się widocznie przekonać obecnych, że się rozstała z Heleną w najlepszej przyjaźni. Mimo to rad był Walenty, gdy goście powstali, by się pożegnać — paplanina narzeczonej sprawiała mu zawrot głowy. Pożegnanie lady Andison było zimno-sztywne; nie chciała mu bowiem okazać więcej dobroci dopókiby się nie przekonała, że na nią zasługuje.

— Wszakże przyjdziesz na obiad, Walku — odezwała się Flora. — Zapewne ci mama powiedziała, że ojciec przyjdzie wieczorem. Percy będzie czekał na niego na stacyi, moglibyście pójść oboje.

— Żałuję, że nie będę mógł powitać dzisiaj sir Charla — odrzekł Walenty. — Muszę przed odjazdem wykończyć jeszcze niektóre prace i przejrzeć papiery, których treść wymaga osobliwej uwagi.

— Myślałam, żeś się już ze wszystkiem ułatwił — rzekła Flora.

— Nie zupełnie jeszcze.

— Ale jutro.

— Jutro będę już wolny.

— Co to będą za rozkoszne czasy, Walku — zawołała Flora, klaszcząc w dłonie. — Nareszcie będziemy cię mieli całkowicie i wyłącznie dla siebie. Dlatego też nie gniewam się, że nie przyjedziesz i obdarzam cię na dzisiaj wolnością.

— Czego się ociągasz, Percy? — spytała lady Andison.

— Ja pozostanę jeszcze u mr. Merricka.

— Wątpię, by obecność twoja była Walentemu pożądaną, skoro ma zajęcie.

— Nie wiele mu czasu zabiorę — odpowiedział ponuro.

— Przykro mi, Percy, lecz tylko dziesięć minut najwyżej mogę ci poświęcić — rzekł Walenty, siadając i biorąc napowrót do ręki książkę, którą za ich przybyciem czytał.

— Dziesięć minut wystarczy zupełnie — była krótka odpowiedź.

Walenty udał, jakoby tego nie zauważył. Percy powstał z krzesła, a pochylając się ku niemu z wyrazem twarzy zdradzającym szaloną, niepohamowaną wściekłość i zaglądając mu w oczy, zawołał: Po co była u ciebie Helena Barklay?

— Zdaje mi się, że już powód tego dostatecznie wyjaśniłem — odpowiedział niedbale.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czas największy



z powodu ogólnej drożyzny, stać się oszczędnym. I tak n. p. bardzo drogie masło można doskonale zastąpić już oddawna używanymi i daleko tańszymi gatunkami margaryny

Clever Stolz i Vitello. 63

Oszczędność jest znaczna. Do nabycia, zawsze wyborowej jakości, we wszystkich składach towarów kolonjalnych i artykułów spożywczych.

Woalki — Rękawiczki

Na sezon latowy

polecają

kapelusze damskie i dziecięce

w wielkim wyborze, przy nadzwyczaj nizkich cenach. 82

M. & A. Kapałczyńska
Poznań,
ul. Szeroka 25.

Parasole — Torebki damskie

Baczność!
Jedyny polski zakład fotograficzny w Poznaniu

w ręku fachowca. 76

J. Stolski

Poznań, ul. Szeroka 20 parter.
Tel. 790. Tel. 790.

SPECYALNOŚĆ:
Portrety w wykonaniu artystycznem.

A. Szmytkowski

Telefon 17. **Pniewy (Pinne.)** Telefon 17.

Destylacya. Fabryka likworów i araków.

Specyalność:
Jubileuszówka, Jagodówka,
Gdańskie wódki,
Nalewka wiśniowa, Nalewka pomarańczowa, Nalewka śliwkowa.

Premiowane złotymi medalami.

Nowość: 63
„Hetman“, staropolski likier żołądkowy.
„Ukas“, krystalizowana kmińkówka.
Skład prawdziwych araków, rumów. koniaków i handel win.

PATENTY

uskuteczniа szybko i tanio
Biuro patentowe
Knop & Kimer Inż.
Poznań, Rycerska 8.
Telefon 1735.
Informacya bezpłatnie.

Wyjdzie niezadługo w **taniem** choć **całkowitem** wydaniu

Sienkiewicz,
Krzyżacy,

2 tomy obecnie 3 mk., opr. 4 mk., z przesyłką 25 – 50 fen. więcej stosownie do odległości od Poznania

Zamówienia przyjmuje

A. CYBULSKI, 94

Księgarnia i skład nut w POZNANIU.

Wielka obietnica
objawiona przez P. Jezusa.
Nowenna łask Boskich
zapewniająca **dobrą śmierć** każdemu, kto ją **raz jeden** w życiu godnie odprawi.
Z aprobatą kościel. 190 stron.
Cena 10 fen. z przes. 15 f.
10 sztuk z przes. za 1,30 m.
zamawiać w **Księgarni Katolickiej,** Poznań, Jezuicka 5 za zaliczką lub pieniądze naprzód.

Drogerya

na Górn. Śląsku jest zaraz do sprzedania; obrót roczny 18 tys. mk., komorne 600 mk podług inwentury. Bez konkurencyi

Łaskawe oferty proszę pod lit. **P. 121** do eksped. „Pracy“ 121

Ucznia

syna uczciwych rodziców przyjmie zaraz do drogeryi, składu farb i chemikalii

B. Kiedrowski,
Bydgoszcz, 119
ul Fryderykowska nr. 64

Krawcowe

kupują biusty tylko 120



w fabryce biustów,
Stary Rynek 91
wchód z ul. Wronieckiej. I. pietro.
Biusty od 1.75 mk. Przy 3 biustach 10% upustu.
Cennik bezpłatnie.

Karty wizytowe

od 1,50 mk. począwszy
poleca
Drukarnia „Pracy“
Rycerska 38.

TAPETY

z fabryk krajowych i zagr. jak francuskich, angielskich, czeskich i amerykańskich.

TAPETY
jedwabne (Tecco) i skórzane.

TAPETY
:: :: :: :: : do zmywania. : :: :: :: ::

LINOLEUM.
DYWANY I CHODNIKI
linoleumowe.
CERATY.

Wszelkie próby i kosztorysy na żądanie franko.

Jedyne specyalne polskie przedsiębiorstwo tej branż na Poznań i W. Ks. Poznańskie.

Centralny Dom Tapet
KOCZOROWSKI & Co.
Poznań, Stary Rynek 80.
TELEFON 1549. 86



Papierosy z fabryki SULIMA są najlepsze.

Specjalność:
Tell 15 10 sztuk 15 fen. 320
Z 5 10 „ 15 „

Jedyna jeneralna ajentura i główny skład

S. Żychliński w Poznaniu

Cygara w największym wyborze.

Na 449
majątki ziemskie,

gospodarstwa i większe folwarki jestem zawsze reflektantem oraz mam każdego czasu takowe do sprzedania.

Parceluję na własny lub właściciela rachunek za bardzo nizkiem wynagrodzeniem, przeprowadzam konwertacye listów zastawnych, udzielając zaliczki na parcelacyą lub regulowanie hipotek.

Gabryel Ritter,

Bank hipoteczny i parcelacyjny
Stary Rynek 6. — Telefon 62.

Klinika prywatna
Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne,
dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych.

Poznań, Plac Piotra nr. 4
(Petriplatz) 208
TELEFON 893.

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.